Nr. 35. Poznań, Niedziela 25go Listopada 1894 r. Rok. I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

POLITYKA.

Listy z Petersburga.

V.

Petersburg 19 listopada.

Car a policya. — Głosy prasy. — Zmiany w ministerstwie. — Tajemniczy testament. — Deputacya polska u Hurki. — Co mówi opinja rosyjska. — Bezcelowność taktyki naszej).

Car Aleksander wrócił nareszcie do swojej stolicy i spoczął na katafalku w cerkwi św. Piotra i Pawła w petersburskiej cytadeli. Już na kilka dni przed przybyciem zwłok Petersburg zaczął przywdziewać żałobne szaty i rzeczywiście w dzień przewiezienia ciała z dworca kolei moskiewskiej do fortec wyglądał poważnie i przyzwoicie, „kobaki“ (handle wina) były zamknięte od rana, więc pijanych nie było. Dla bezpieczeństwa osoby młodego cara, któremu zresztą w danej chwili nic i nikt nie grozi, policya zabroniła publiczności mieścić się na dachach, parkanach i na balkonach, a także otwierać okna wychodzące na ulice, któremi przeciągał kondukt, a tłumy stojące na chodnikach tak szczelnie były oddzielone od procesyi szpalerami wojska, że i szpilka nie mogłaby się przecisnąć. Zresztą o ile wiadomo sam młody car nie jest zwolennikiem zbyt rażących ostrożności. Tak np. gdy na jednej z większych stacyi między Moskwą i Petersburgiem, gdzie pociąg cesarski zatrzymywał się dla nabożeństwa, policya zamknęła publiczność we dworcu i nie puściła na peron, adjutant cara, młody książe Obolenskij wpadł z gniewem na dworzec, sam otworzył drzwi i zawołał zwracając się do uwięzionych wiernych poddanych — proszę panów za mną. Drobny ten epizod zrobił bardzo korzystne wrażenie, szczególnie na wojsko.

Nie będę opisywać całego caremonjału pogrzebowego; musiały go codzienne pisma podać w swoim czasie ze wszystkiemi szczegółami. Dodam tylko, że zachowanie się ludu podczas ceremonji, chociaż było dość spokojne i przyzwoite nie nosiło wcale cechy tak bardzo żałobnej. Smiano się i dowcipkowano z różnych dygnitarzy, którzy rzeczywiście nieraz wyglądali komicznie w swoich paradnych mundurach i o zmarłym carze już prawie zapomniano i mówiono prawie wyłącznie o nowym, dość przychylnie ale bez entuzyazmu. Zato z prawdziwem przejęciem i wzruszeniem lud witał idącego tuż przed trumną w orszaku księży prawosławnych, znanego dziś szeroko ojca Jana Kronstadzkiego, skromnego proboszcza z Kronstadtu, używającego wśród ludu opinji świętego i cudotwórcy. Przy ukazaniu się ojca Jana, który szedł między biskupami i metropolitami w swoich skromnych szatach i sam jeden z odkrytą głową, przez tłum jakby przeleciała iskra elektryczna i obojętny widz mógł od razu zromumieć, że prawdziwa siła, co serca ludzi porusza, kryje się nie pod purpurą, ani pod mundurem, ale pod tą skromną suknią rzeczywiście niepospolitego człowieka.

Cały ten tydzień, jako poświęcony uroczystościom pogrzebowym, nie mógł być obfitym w żadne ważne wypadki. Młody car, zajęty przyjmowaniem zagranicznych gości, odpowiadanie na niezliczone telegramy i udzielanie audyencyi deputacyom, właściwie mówiąc już panuje, ale nie rządzi; wszystko więc idzie po dawnemu. Jedynem bardziej ważnem wystąpieniem jest okólnik ministra spraw wewnętrznych do posłów rosyjskich przy zagranicznych dworach; treść tego aktu i wrażenie, które sprawił zagranicą jest już wam oddawna znane; dodam więc tylko parę słów o tem, jak go traktuje prasa rosyjska. Liberalne pisma dość szczerze witają we wspomnianym okólniku obietnicę uprawiania polityki i biorą zeń assumpt do poddania carowi myśli, że powinien poświęcić wszystkie swoje siły pracy nad zewnętrznym rozwojem Rosyi tak, jak go one rozumieją, t. j. w duchu zachodnio-europejskiego liberalizmu. Pisma zaś dawnego obozu rządowego, które dziś same jeszcze nie wiedzą, czego się trzymać, chwalą naturalnie także pokojowe dążnośnoc młodego cara, starają się wmówić w publiczność, że okólnik pana Giersa musi wywołać niezadowolenie w pewnych sferach politycznych zachodu, które knują jakieś machiawelskie zamiary przeciwko Rosyi i chcą dla urzeczywistnienia tych zamiarów wyciągnąć bądź co bądź rosyjskiego niedźwiedzia z jego legowiska. Jest to jak na dziś manewr dla podtrzymywania w publiczności niechęci ku zachodowi wraz ze wszystkiemi jego urządzeniami.

Tymczasem stugębna fama już wybrała pierwsze ofiary z pomiędzy ministrów i wyznaczyła tych ludzi, którzy mają przyjść do władzy u boku młodego monarchy! Ciekawe to choćby ze względu na to, że opinja publiczna, uprzedzając w ten sposób fakta wskazuje ludzi, którzy cieszą się największą sympatyą u społeczeństwa. Są zresztą i pewne wskazówki, pochodzące od samego cara. Tak n. p. pan Krywoszcin, minister komunikacyi już przy pierwszem spotkaniu na dworcu otrzymał od cara wymówkę za nieporządki na kolei Mikołajowskiej (petersbursko-moskiewskiej), których ofiarą o mało nie stał się p. Pobiedonoscew. Jako na następcę pana Krywoszeina wskazują na pana Adadurowa, bardo zdolnego inżyniera, aczkolwiek nie wolnego od pewnych zarzutów z gatunku takich, o których nie mówi się bez dowodów w ręku. Dalej naczelnik miasta Petersburga otrzymał wyrażenie najwyższego niezadowolenia z powodu rozkazu zamknięcia okien i balkonów podczas pogrzebowej procesyi.

Wogóle zdaje się, że między carem a policyą toczy się szczególnego rodzaju walka. Policya robi wszystko co może, aby utrzymać nadal pozory istnienia ciągłego niebezpieczeństwa dla osoby cara.

Bardzo jej z tem wygodnie, bo występując w roli stałej obronicielki cara od jego poddanych, staje się przez to faktycznie wszechmocną. Z drugiej zaś strony młodego cara męczy i gniewa ta uprzykrzająca się opieka powszechnie pogardzonego w Rosyi stanu. Jako młodzieniec i jako wojskowy chciałby uchodzić za odważnego; może zresztą i rozumie to dobrze, że nikt mu dziś źle nie życzy, a przeciwnie, wszyscy czekają jakim się okaże, żeby do tego zastosować swoje postępowania.

Zachwiany jest także minister marynarki Czychaczew i Wojny Wannowski. Na miejsce ostatniego ma jakoby być mianowany jenerał Puzyrewski, znany autor wojny polsko-rosyjskiej 1820—31 roku. Hrabia Milutyn ma jakoby zająć wakującą ód śmierci księcia Gorczakowa posadę kanclerza państwa; były minister finansów ma zostać wicekanclerzem.

Z wielką ciekawością społeczeństwo rosyjskie oczekuje dnia pogrzebu cara Aleksandra, gdyż w tym dniu właśnie ma być otworzony list zapieczętownny, który umierający car wręczył synowi z r o z k a z e m, żeby go otworzył

w dniu pogrzebu. Niezmiernie przykre wrażenie na pewnej części tutejszej polskiej publiczności zrobiła wiadomość o deputacyi do jenerała Hurki z wyrazem lojalności dla cara Mikołaja II. Nieszczęśliwa ta polska lojalność, z którą narzucamy się wszystkim, a w którą nikt nie chce wierzyć. Podobno w tym sensie pan Hurko odpowiedział i warszawskim ojcom narodu, którzy zapewniali, czy też nie chcieli pamiętać tego, że Polacy nie mogą i nie powinni się narzucać z czułościami ludziom, którzy sami doskonale rozumieją, że na nic nie zasłużyli. Można praktykować faktyczną lojalność, pełniąc nolens volens obowiązki względem państwa, którego się jest przymusowym obywatelem, ale nie wolno się płaszczyć przed siłą dla tego jedynie, że jest ona siłą, a tem mniej występować bez mandatu w imieniu narodu, który nie ma głosu i nie może wypowiedzieć swoich krzywd i żądań. Zresztą ta nasza polityka zabiegania naprzód i zaglądania w oczy silnym tego świata jest nietylko wstrętną, ale i bezcelową. Moskala nikt jeszcze nie wziął na uległość. W naszej układności, którą niepowołani ojcowie ojczyzny ogłosili za jedyną zbawienną politykę, Moskal widzi tylko słabość i fałsz; pierwsza podnieca jego niezbyt jeszcze wydelikacone nerwy, drugi drażni i gniewa, bo wzbudza podejrzenie, że go chcą podejść, ugłaskać i oskubać. Nikt nie jest lepiej świadomym krzywd narodu polskiego, jak sami rosyanie, a szczególnie ci z pomiędzy nich, którzy są sprawcami tych krzywd. W ich dość prostych i logicznych głowach nie może się pomieścić myśl, żeby tak srodze krzywdzony naród jak polski, nie czuł głębokiej urazy i niechęci dla swoich krzywdzicieli. Im więcej więc polak płaszczy się i zapewnia o swej lojalności tym więcej go podejrzywają o fałsz, albo w najlepszym razie lekceważą. Znane są słowa Mikołaja I do deputacyi warszawskiej po 1831 roku — „messieurs épargnez vous un mensonge". Jak nizko musieliśmy upaść, żeby po 60 latach módz usłyszeć prawie to samo z ust już nie monarchy, ale żołdaka, jakim jest jenerał Hurko, Rozumiemy, że może istnieć w Polsce stronnictwo, uważające za właściwe manifestować w takiej chwili jak obecna swoje uczucia w ten sposób. Ale w takim razie powinno się było starać o audencyą dla swoich deputowanych u samego monarchy. Iść zaś obijać progi takiego zdeklarowanego wroga nie polskiej rewolucyi, ale samego narodu polskiego jak Hurko, jest hańbą nawet dla tych, którzy wiele znieść mogą w imię tak zwanej wyższej polityki. Ignorować w podobnych razach panów Hurków i Orzewskich powinni byliby nawet ci, którzy w codziennem życiu mogą bawić się z nimi lub modlić się za nich. Tutejsi panowie wprost się pytają — po co ci panowie chodzili do Hurki? Czem jest dla nich ten pan, co zrobił karyerę na waśnieniu dwóch bratnich narodów? Dla czego się nie zwrócili wprost do cara, do którego dziś zwracają się wszyscy? Cóż im na to odpowiemy? Że ich zmuszono? Byłoby to nieprawdą. Fizycznego przymusu nie było, a moralny nie może, nie powinien istnieć dla ludzi, co się sami stawią na czoło społeczeństwa. Zresztą nie wierzymy w to, żeby szanowni deputowani ulegli nawet moralnemu przymusowi. Kierowała nimi wyższa polityka, oparta na gruntownej nieznajomości charakteru tej siły, z którą mają do czynienia. Rosya nie wymaga od Polaków słodkich słówek, ale wymaga zupełnego wyrzeczenia się swojego ja, rozpłynięcia w rosyjskiem morzu, jak się wyraził Puszkin. Ponieważ jednak tego jej nie mogą obiecać nawet nasi najlojalniajsi, więc gotowa jest zadowolnić się tymczasem spokojnem zachowaniem się i faktycznem pełnieniem pewnych obowiązków. To minimum można jej ofiarować w zamian za pewne minimum warunków, czyniących jako tako znośnem nasze ciężkie życie narodowe. Taki język byłby zrozumiałym dla Rosyi i na tym gruncie możnaby było dojść do pewnego prowizoryum i w dodatku pozyskać szacunek przeciwnika. Nie do Hurki powinni byli iść nasi luminarze, kiedy się im już zachciało w ten sposób służyć sprawie ojczyzny, ale do cara i powiedzieć mu, że gdzieś nad Wisłą jest liczny, sławny i dzielny naród, doprowadzony dziś przez satrapów jego ojca do ostatniej niemal moralnej nędzy i rozpaczy. Powinni byli mu powiedzieć, że rozpacz jest złym doradzcą, że nie jest rzeczą polityczną drażnić w krwawy sposób nawet najsłabszego, że polityczne waśnie i nieporozumienia nie powinny wykluczać możności znośnego „modus vivendi", że nareszcie samo sumienie nakazuje człowiekowi, co się mieni królem polskim i wymaga przysięgi od tych milionów Polaków, być dla nich królem a nie katem.

Tak mógłby przemawiać do cara polski lojalista i jeżeliby nie był wysłuchany, to miałby przynajmniej za sobą poczucie sumiennie spełnionego obowiązku obywatelskiego. Ale na to potrzeba odwagi, a gdzież jej szukać u ludzi takich, jak np. arcybiskup warszawski Popiel, który nie miał męztwa, żeby się oprzeć czytaniu roty przysięgi w warszawskich kościołach w języku rosyjskim, powtarzam, że z Rosyą można walczyć tylko za pomocą moralniejszej i ciągłej gotowości na wszystko, choćby na męczeństwo. Ta gotowość, objawiająca się choćiażby w biernej, ale wytrwałej opozycyi wszystkim zakusom na naszą narodowość, imponuje wrogowi i zmusza go do hamowania się w swoich zapędach. Błędnem jest mniemanie, że w najwyższych sferach rosyjskich życzą sobie jakich rozruchów w Polsce, żeby mieć słuszny powód do zwiększania wojska. Przeciwnie, tu nie lubią żadnych nieporządków i boją się ich: tylko warszawska żandarmerya cieszy się z wybuchających jeden po drugim procesów politycznych i z majowych aresztowań w Warszawie, bo z tego żyje i tem się tuczy. Sfery zaś wysokie lubią, żeby wszystko było cicho i gładko i wiele mogą zrobić, dla tego jedynie, żebe było cicho. Próbują więc od czasu do czasu usposobienia społeczeństwa, występując z coraz to nowymi objawami ucisku i natychmiast się cofają, jak tylko natrafiają na prawdziwy opór, lub choćby tylko przewidują możność tego oporu. Nie kłaniać się więc powinno nasze konserwatywne stronnictwo, nie zapominać o swojej lojalności, ale starać się przedstawić rządowi, że może przyjść chwila, kiedy zamocno naciągnięta struna pęknie, kiedy z rozpaczone społeczeństwo zapomni o instynkcie samozachowawczym i usłucha tego, co mu będzie szeptać logika rozpaczy. Byłoby to i pożytecznie i uczciwie, bo otwarcie i bez wykrętów. Jaki byłby skutek takiej polityki to trudno przewidzieć, ale pewno, że lepsza od dzisiajszej, która wzbudza niesmak w samych Rosyanach, a podtrzymuje w nich opinję o Polakach jako o zwolennikach fałszu i podstępów,

Wracając jeszcze do sprawy tej niefortunnej deputacyi dodaję, że tutaj bardzo zdziwieni, dla czego, gdy jenerał Hurko odpowiedział, że nie wie o ile szczeremi są słowa panów deputowanych, nikt mu nie odparł, że przyszli tu nie po to, żeby wysłuchiwać jego zdania o istocie ich uczuć, ale tylko, żeby użyć jego pośrednictwa między sobą a carem. Taka odpowiedź, zakomunikowana w swoim czasie petersburskiemu społeczeństwu wywołałoby burzę przeciwko Hurce. I tak zapewne przenikliwy jenerał nie uniknie nieprzyjemności, jak tylko car się dowie o jego sposobie przyjmowania polskich deputacyi

X.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Główny organ chorwackiego stronnictwa prawa „*Hrvatska*" poświęca pamięci zmarłego cara Aleksandra artykuł napisany przez Starczewicza, w którym potępia samodziercę Rosyi

---

FRANCISZEK RAWITA.

PRZED BITWĄ.

Poświęcam nieznajomemu,
Autor.

Naczelnik zbliżał się ku Szczekocinom, dokąd zdążali także Moskale, wzmocnieni po Racławickiej porażce, z zamiarem stoczenia nowej bitwy i zamknięcia Kościuszce drogi do Warszawy.

Wódz nasz przewidywał plany Moskali, sposobił się do walki i wojsko całe trzymał pod wrażeniem oczekiwania. Zapał, jaki ogarnął wszystkich po bitwie Racławickiej, dodawał żołnierzowi energii, siły, pewności siebie; gorący patryotyzm, stanowczość chwili i przykład wodza, niestrudzonego w pracy, świecącego wzorem powściągliwości żołnierskiej, dodawały jeszcze więcej otuchy wojsku.

W skwarne południe zdążała armia naczelnika do miejsca spodziewanej potyczki we wzorowym porządku i rygorze; za godzinę miała zatrzymać się na krótki odpoczynek, ażeby przed wieczorem jeszcze stanąć obozem pod Szczekocinami i tam stoczyć bitwę z Moskalami. Żołnierze otrzymali rozkaz nieopuszczania szeregów pod karą śmierci.

Słońce paliło, żołnierze padali ze znużenia, bo od godziny czwartej byli na nogach, a na chwilę nie wolno było wysunąć się z szeregu do rzeki lub źródła, ażeby wobec zbliżającego się nieprzyjaciela utrzymać ducha karności i zahartować wytrwałość.

Na czele pierwszej kompanii pułku Czapskiego postępował kapral, a za nim dwóch podoficerów. Porucznika nie było — szedł z kolegami, drugiej kompanii innymi oficerami, zajęty roztrząsaniem planu spodziewanej bitwy.

Kapral i dwaj podoficerowie byli braćmi — dziećmi Krakowa. Pochodzili ze starej mieszczańskiej rodziny. Ojciec ich był rajcą miejskim — a było to już trzydzieste rajcostwo w tej samej famili. Kiedy 24 marca 1794 roku Naczelnik składał przysięgę na rynku krakowskim, ojciec ich już nie żył — w zimie umarł.

Gdy w mieście uderzono we dzwony, gdy alarm się zrobił, trzej bracia wyszli na miasto — wyszli i wrócili dopiero wieczorem.

Matka już wiedziała o wszystkiem co się stało.

— Wojna z Moskwą? — spytała.

— Wojna matko — odrzekł najstarszy.

W pokoju zapanowało milczenie głuche, niepewne. Wszyscy czuli, że jeszcze coś powiedzieć trzeba, a jednak nikt nie mówił. Po chwili dopiero ktoś rzekł słowo — jedno, drugie, trzecie i powoli nawiązała się rozmowa o wypadku, który miał miejsce, i o jego szczegółach.

— Po całem mieście ochotników werbują... — któryś wtrącił.

— Werbują... — odezwał się inny.

— Każdy chciał powiedzieć:

— Ale żaden nie mówił, bo wnet potem nasuwała się inna myśl:

— Co z matką będzie?

Stara kobieta potrzebowała rady i pomocy synów — jakże ją opuścić w tej starości i niemocy? Trzy dni i trzy noce trwała walka w sercu młodych ludzi, którzy całą duszą rwali się do wojny, i w sercu matki, która to rwanie się przeczuwała.

Zapisali się nareszcie i poszli.

Poszli, odbyli chrzest wojskowy pod Racławicami, a sam naczelnik mianował najstarszego kapralem, dwóch młodszych podoficerami na polu bitwy. Gdy im wobec Kościuszki przeczytano awans, Naczelnik odezwał się w te słowa:

— Ojczyzna nagradza waszą odwagę i poświęcenie; pamiętajcie, abyście zaszczytu, jakim was obdarza, nie splamili nigdy. Świećcie przy-

i za jego politykę względem Polaków. Pomiędzy innemi „Hrvatska“ tak pisze:

„Książę Bismark i jego polityka brutalna, były ideałem wszystkich dyplomatów rosyjskich, i zmarły car był tej polityki wielbicielem.

„O zmarłym mówią, że był dobrym synem, ojcem i małżonkiem; te przymioty chwalą go jako człowieka, ale jako władzca, jako car rosyjski powinien być czemś więcej, zwłaszcza w dobie obecnej, trudno zaś o carze Aleksandrze III powiedzieć ponad to więcej dobrego!... „Car Aleksander III nietylko, że nie wydobył się z pod wpływu polityki bismarkowskiej, ale kult jej w Rosyi utwierdził. „Niemcy jak byli, tak są wzorem dla Rosyi...“

* * *

„*Il Penserio Slavo*“ tak rozpisuje się o stosunkach politycznych, panujących obecnie w Chorwacyi.

Mamy obecnie trzy stronnictwa, dobijające się o władzę w Chorwacyi. Żadne z nich nie posiada tyle siły moralnej, ażeby obok siebie zgromadzić najlepsze siły kraju

„Mamy stronnictwo patryotyczne, które chce zdobyć dla Chorwacyi stanowisko samodzielne i powagę na południowej Słowiańszczyźnie, uwzględniając przytem słuszne wymagania innych szczepów pobratymczych. Z drugiej strony występuje stronnictwo Starczewicza, niechcące nic widzieć krom interesów Chorwatów, obrażające i odpychające od siebie Serbów. Tymczasem pomiędzy Serbami a Chorwatami nie ma różnicy szczepowej, a różnica religijna nie powinna być przepaścią dzielącą naród.

„Mieliśmy już takich mężów, jak ksiądz katolicki Pavlinewicz i pop prawosławny Sundeczic, którzy byli apostołami jedności serbo-chorwackiej. Sława poróżnienia synów jednej ojczyzny przypadła w udziale Starczewiczowi, on to stworzył stronnictwo prawa, którego dewizą niezawisłość, wolność, jedność Chorwacyi i oderwanie jej od Serbii — obecnie powstaje w Banowinie trzecie stronnictwo chorwackie, które skłania się całkiem ku Serbii, zarzucając nazwę stronnictwa chorwackiego, gdyż uważa Chorwacyą jako pojęcie państwowe nie etnograficzne.

„Chorwacy'a — tak chce Starczewicz — niechaj dba o siebie — i dla tego gotów on poróżnić ją z całą Słowiańszczyzną.

O stronnictwie mianującem się narodem nie można już mówić jako o stronnictwie chorwackiem. Składa się ono ze spekulantów na posady rządowe, intruzów, gotowych zdradzić największe interesa kraju...“

* * *

„*Radikalni Listy*“ organ omladynistów umieszcza artykuł pod nagłówkiem: „Na ochranu (ochronę) swobody smyszleni (przekonania) u nas“ i pisze:

„Walczyć za wolność przekonania oznacza żądać nietylko wolności prasy, zgromadzeń i związków, ale obejmuje ta walka zwalczanie przesądów i zakorzenionych wstecznych poglądów. Gdybyśmy tego nie mieli na oku, byłaby nasza walka jednostronną, byłaby tylko cząstką programu. Rzeczywista wolność nie zawisła li od paragrafów ustawy, ale od przekonań, jakie żywi lud i obywatele danego kraju. Dajmy duchowieństwu wolność przekonań, a przecież prasa klerykalna o włos nie stanie się wolnomyślniejszą, owszem większej wolności użyją, aby bardziej wpływ swój wyzyskać, aby bezwzględniej występować w imię wiary.

„Nie występujemy jedynie przeciw uciskowi rządowemu, ale przeciw wstecznikom w naszem społeczeństwie, przeciw naszym współobywatelom. To też dziś występujemy przeciw czeskiej akademii, która dla różnych powodów odmawia subwencyi dziełu pożytecznemu, jutro przeciw „mężom osiwiałym w służbie ojczyzny“, którzy gnębią wolność przekonań, dalej przeciw dziennikarstwu potępiającemu nas w swem „„patryotycznem rozgoryczeniu““, przeciw krytykom niesprawiedliwym i jednostronnym.

„Wolności przekonania staje w poprzek to okrzykiwanie zdrajcą każdego, kto wystąpi z ideałami nowemi, kto ma odwagę i śmiałość wypowiedzieć rzetelnie, co myśli i czuje. Przeto, kto chce rzeczywistej naprawy naszych stosunków, kto chce postępu w sprawach narodowych musi przyjąć do programu swego walkę przeciw cenzurze, domowej policyi i teroryzmowi...“

* * *

Chorwacki „*Obzor*“ pisze o zadaniu, jakie czeka Słowian i potrzebie wspólnej akcyi, co następuje:

„Jest nas Słowian dużo, jak piasku na brzegu morskim, a jednakowoż wpływu żadnego nie mamy i zwłaszcza w Austro-Węgrzech traktują nas jako kopciuszków. Dla czego? Oto nie ma u nas dotąd w szerokich masach ludu poczucia narodowego, nie ma zrozumienia ideałów narodowych. Lubo Słowianie są na wskroś konserwatywni, monarchowie i najstarsze instytucye społeczne nie szukają oparcia u nich. Niemcy, wynaradawiają Słowian, aby ich wrzucić w ten ferment społeczno-polityczny, który niby burza podzwrotnikowa zawiał nad Europą. Pierwszym naszym obowiązkiem powinno być obudzenie odporności w nas samych przeciw wpływowi zagranicznemu, i to nietylko na polu językowem, ale społecznem, literackiem i artystycznem. Niemcy są zjednoczeni, idą przeciw nam ławą, a my ciągle rozbici, nieznający siebie. Na pochwałę ludu słowiańskiego trzeba podnieść, iż lud czuje się więcej słowiańskim niż inteligencya, bo inteligencya słowiańska sprzeniewierza się ludowi; choć się nie staje obcą mu językiem, to obcą duchem i pojęciami.

Mówią nam, że przeszłość sama wykazuje niewątpliwość połączenia się. Ale my mając na uwadze nasz interes, nie powinniśmy oglądać się na przeszłość, *lecz na teraźniejszość i przyszłość.*

„W obec niebezpieczeństwa, Słowianom grożącego, trzeba nam uwierzyć, że zbliżenie się wzajemne to interes chwili obecnej i przyszłej, czego nikt nie zaprzeczy.

Chcąc pracować i walczyć wspólnie musimy przyznać, że jest zadaniem najgłówniejszem, aby inteligencya słowiańska starała się poznać literaturę; stosunki patryotów, aby przynajmniej pewien procent naszych uczonych zaznajamiał się z językami innych Słowian, studyował ich stosunki i literaturę...

„Tymczasem jest dziś u nas gorzej jeszcze, aniżeli było dawniej. Wzajemność pozostała pustym frazesem. Choć groza niebezpieczeństwa stała się zrozumiałą powszechnie, ani kroku nie uczynił naprzód żaden z narodów słowiańskich ku wzajemnemu poznaniu się.

K.

Rewolucya XX wieku.[1]

Henry Lazarus: The English Revolution of the twentieth Century: a prospective History with an Introduction.

(*Dokończenie.*)

VI. W dzień wybuchu.

Rankiem dnia tego mroźnego i mglistego wielkie koszary „Knightsbridge“ były sceną zbiegowiska. Żołnierze królewscy, w części zwolennicy Ligi, nie stawili oporu, prócz kilku oficerów, którzy śmierć ponieśli. Zaledwie zresztą

---

kładem posłuszeństwa, jak byliście przykładem odwagi.

Z pola bitwy ruszyli dalej.

Kiedy armia wkroczyła już na drogę do Szczekocin, a szpiedzy donieśli, że Moskale forsownym marszem zdążają ku nam, Naczelnik powtórzył rozkaz, ażeby żaden żołnierz nie śmiał odłączyć się z szerego pod karą śmierci. A tu słońce pali i pragnienie wysusza ślinę w ustach. Za kroplę wody pół życia by się dało. Wojsko omdlewa z pragnienia, a przy drodze ani strumienia, ani studni.

Kapral szedł zasępiony i ostatnim wysiłkiem woli panował nad sobą, ażeby ze znużenia nie upaść gdzie na drodze. Jastrzębim wzrokiem spoglądał przed siebie i dojrzał, że daleko mignął dach karczmy przydrożnej i żuraw przy studni.

Odwrócił się do braci i rzekł ochrypłym z pragnienia głosem:

— Woda..

Inni dostrzegli także studnię i oczy wszystkich mimowolnie zwróciły się w tę stronę, jakby tam upatrywano zbawienie.

Żołnierze szeptać poczęli:

— Woda... woda...

Spojrzenia wszystkich biegły naprzód... wargi drgały nerwowym ruchem. Zdawało się, że każdy kroku przyspieszył, byle co rychlej odwilżyć usta.

Kapral dojrzał tę niecierpliwą gorączkowość i przypomniał sobie rozkaz naczelnika. Z wysiłkiem energii i woli odskoczył o parę kroków w bok i do kompanii zwróciwszy się, zawołał groźnie:

— Niech nikt nie waży się przystąpić do studni; kto z szeregu wyjdzie w łeb kulą dostanie!

Głuchy i gniewny pomruk wydobył się z piersi żołnierzy, ale nikt nie śmiał protestować.

Zbliżyli się do studni. Wszystkich oczy odwróciły się od niej, jak od pokusy — i spojrzenia zawisły nieruchomie na tarczy słonecznej. Każdy uczuł, jak mu potok gorzkiej śliny wytoczył się na wargi i w zagięciach ust osiadł, a siła jakaś niesłychana całe ciało popychała do studni, tak, że się jej oprzeć nie można było; — nogi drżały i plątały się, zdawało się, że muskuły zginają się w kierunku wprost przeciwnym i odmawiają posłuszeństwa.

Takiego samego uczucia doznawał kapral. Pokusa ciągnęła go w inną stronę, obowiązek w inną popychał. Szedł w tej walce niemej, nie dającej się dostrzedz prawie, z zaciśniętemi ustami; kolbę karabina kurczowym, nerwowym ruchem palcami naciskał, a rozpalone od słońca żelazo okucia jeszcze bardziej podniecało jego pragnienie.

Minęli wreszcie studnię...

Żołnierze z pochylonemi głowami poszli dalej — tylko kurz za nimi wzbił się obłokiem. — On zatrzymał się.

— Zginę chyba z pragnienia.... — wyszeptał do braci.

Żaden mu ani słowa nie odrzekł, bo każdy z nich doznawał tego samego uczucia, to samo miał na myśli, ale rozkaz naczelnika pamiętał.

Wtem kapral podniósł głowę do góry gwałtownym ruchem i rzucił spojrzeniem w stronę gdzie szedł porucznik. Ledwie poznał go w tłumie.

Chwilkę trwało wahanie... Jednym skokiem, jak pantera, znalazł się przy studni. Gwałtownym ruchem odczepił wiadro, zaskrzepił żuraw... jescze chwilkę i miała błysnąć do słońca biała powierzchnia wody... Już wyciągał.. Nic innego nie widział przed sobą jak szklanną szybę wody, nic innego nie słyszał jak skrzyp żórawia.

— Nie wolno... jesteś skazany na dzień aresztu.

Odwrócił się — zanim stał porucznik.

Kapralowi oczy w słup stanęły.

— Odejść natychmiast... jesteś aresztowany...

Kapral trzymał wiadro drżącemi rękami, ściskając je konwulsyjnie.

— Poruczniku... — wyszeptał.

— Jesteś aresztowany...

załoga położenie zrozumiała, setki rąk krępowały policyantów i na posterunku stojących. Znalezioną broń rozdzielono pomiędzy nieuzbrojony lud i pospieszono na Trafalgar square, plac w głównym punkcie miasta, gdzie ukazał się świetny hufiec zbrojny z naczelnym wodzem, Carlyle'm na czele. Armia ruszyła w kierunku koszar gwardyjskich. Aby uniknąć o ile możności krwi rozlewu i gwardyą powstrzymać, przed wojskiem Carlyle'a szła procesya kobiet i ludu. W czasie marszu przyjęto depeszę donoszącą, że dwadzieścia tysięcy wojska zmierzało ku stolicy, lecz żołnierze podnieśli rokosz, oświadczyli się za rewolucyą, a dowódzców albo zabili albo uwięzili. Na spotkanie powstańców wystąpiło dwa tysiące królewskiej gwardyi w błyszczących szyszakach. Gdy dowódca ich atoli rozkazał lud sarżować, podniósł się głos donioślejszy:

„Bracia żołnierze! Przysięgliśmy ojczyznę naszą bronić od najazdu nieprzyjaciela, lecz te zastępy przed nami, to nie nieprzyjaciele, ani kraju, ani nasi, to bracia i synowie nasi. Z nimi i dla nich pragniemy żyć i umierać!"

Generał rzucił się ku mówcy, lecz stoczył z konia przeszyty pałaszami. Napróżno beznadziejni oficerowie nalegali na opornych gwardzistów. Gdy nadjechał Carlyle, bramy koszar stanęły przed nim otworem-

W kilka godzin Londyn był w ręku rewolucyi.

VII. Rządy rewolucyi.

Tego samego dnia ukazały się na wszystkich domach plakaty ogłaszające rządy rewolucyi i przestrzegające ludność przed opuszczaniem mieszkań. Patrole pochwyciły wszystkich ministrów i zanotowanych na liście obywateli, w których liczbie wielu posłów, siedmnastu książąt, ośmnastu margrabiów i około trzystu parów, nie dla tego, że byli lordami, lecz że zajmowali synekury, karyery swe nie zawdzięczali zasłudze, lecz wpływom, protekcyom, pieniędzom lub fortunom na spirytuozach zarobionem. Pozamykano szynki, banki zaś i składy puszkarzy dostały się pod nadzór wojskowy.

Carlyle wydał proklamacyą do narodu zwiastującą, że skończyły się rządy karyerowiczów, ambitnych, partyjnych polityków i małodusznych ministrów, lecz że król i konstytucya nadal będzie zachowaną.

Inny ukaz generała nakazywał wydanie wszystkich kosztowności z domów, aby zamienić je na żywność dla biednych. Czterysta beczek złota, srebra i utensyliów luksusowych otrzymano tym sposobem i rozsprzedano je tak szybko po całym świecie, że po kilku tygodniach Bank Angielski posiadał sumę wynoszącą nie mniej jak sześćset milionów sterlingów w złocie, notach, telegraficznych przekazach i papierach banków zagranicznych. Puste i zbytkowe domy zamieniano na ciepłe mieszkania dla najwięcej potrzebujących. Dzieła sztuki przechowano w opakowaniach.

Następnego dnia, w czasie zwykłej sesyi izby gmin generał Carlyle stanął przed parlamentem i zarządał audyencyi.

„Niechaj wszyscy ceniący swe życie oddalą się stąd w pokoju — rzekł do zebrania. Parlament ten, wbrew powinnościom i obowiązkom, zaprzał się Boga i ludzi. W imieniu narodu, rozkazuję wam opuścić tę salę".

Tymczasem gdzieindziej otworzono dla wszystkich wrota państwowych przytułków roboczych (work-houses), aby matki miały wolny wstęp do dzieci, a mężowie nie byli od żon rozłączeni. Nowa organizacya przytulisk nie ustępowała w niczem urządzeniom w koszarach.

VIII Odwet.

Król,*) „którego kształty zaokrągliły się, a jowialna twarz przypominała najweselsze podobizny Henryka VIIIgo" pogodził się zupełnie z nowym stanem rzeczy z wrodzoną sobie „konstytucyjną elastycznością". Kilka pozostałych siwych jego włosów, bynajmniej nie wpłynęło źle na ogólny wygląd, który cechował „królewską wysokość". Rewolucya o tyle spawiła mu przykrość, że widział się zmuszonym rozstać z kosztownościami. Chociaż wszakże dworzanie doradzali mu stawić opór, poddał się na łaskę i niełaskę generała, który z swymi fanatykami zaimponował mu niezmiernie.

Powstania atoli nie mijają bez krwi rozlewu.

Przed trybunałem rewolucyjnym, gdzie widniał napis: „Albowiem uciemiężałeś i wyparłeś się biednych", stanął naprzód pierwszy minister, potem inni magnaci i notable. Oskarżeni nie mieli tu sposobności popisywać się z swą swadą. Sędziowie w dodatku do sekwestracyi dóbr, wydawali wyroki w myśl sentencyi: „Jak ty z drugimi, tak oni z tobą postąpią". Lista oskarżonych była długą, skazanych bardzo liczną, i więzienie przepełnione. Na miejscu gdzie na śmierć skazanych tracono, wzniesiono później granitowy pomnik.

IX. Usprawiedliwienie.

Usprawiedliwienie ruchu sformowanego w jedenastu na faktach opartych artykułach:

1) Z górą pięć milionów ludności było bliskich śmierci głodowej.

2) 25 procent ludności stało na szczeblu niższym od ludzi uważanych za biednych.

3) Dwa miliony osób musiało corocznie korzystać z pomocy udzielanej stosownie do Prawa dla biednych.

4) Straszny upadek nie ograniczał się wyłącznie do klasy nizkiej.

5) W samym Londynie sto tysięcy małych dzieci wzrastało w brudnych ruderach. Rodzice i dzieci mieścili się w jednej izbie.

6) Landlordowie wyssawali rocznie drogą komornego lub gratyfikacyi królewskich z uciemiężonego proletaryatu — pięćset milionów sterlingów.

7) Zbytkowne odzienia korporacyi opłacano z kieszeni nędzarzy.

8) Nadmiar pracy przy niedostatecznej płacy panował wszędzie w nizkiej sferze.

9) Nieletni chłopcy byli zmuszeni pracować w podziemnych kopalniach przez dziesięć lub jedenaście godzin dziennie.

10) Na okrętach zatrudniano tanich, a niekompetentnych majtków zagranicznych podczas gdy pomiędzy angielskimi marynarzami wzmagała się nędza.

11) Chłopi „żyli" z familiami za zapłatę tygodniową ośmiu szylingów.

12) Kobiety i dzieci pracowały jak niewolnicy od 12 do 15 godzin za wynagrodzeniem niedostatecznem na przyzwoite utrzymanie i pod warunkami niesanitarnymi.

Setki tysięcy kobiet „żyło" pogrążonych w najwyższej demoralizacyi.

Mimo to nie zauważano, że mamona ciągnęła świat za sobą bezwzględnie przez „rozwój gatunku ludzkiego", „utrzymanie przy życiu najzdolniejszych jednostek" przez „pseudo ekonomiczną czczą frazeologią", po arenie „wolnego handlu" — do piekieł i wieczystej zguby.

X. Ostatni płomień reakcyi.

Rewolucya opanowała kraj cały i zamorskie posiadłości, nigdzie nie znalazłszy oporu z wyjątkiem w miejscowości Purbeck w Dorsetshire, gdzie stanęli do boju landlordowie rozjuszeni, z powodu, że Carlyle Democritus nietylko wydarł im władzę, ale stanowi wieśniaczemu przyznał ziemię na własność i mieszkania ich ulepszył stosownie do kodycylu ziemskiego. Ufny w przeznaczenie generał nie wątpił, że powstańcy łeb utrą smokowi niesprawiedliwości. Nastręczyła się tu sposobność dla „psów wojny".

Terencyusz Gray*) w pięciogodzinnej walce mimo, że siły z obu stron były równe, odniósł świetne zwycięstwo. Wszyscy żołnierze magna-

*) Nie jest nim nikt inny jak obecny książe Walji.

Mówiąc to porucznik pałaszem trącił o wiadro, które drgnęło, przechyliło się na stronę, bryznęło tęczowemi kroplami wody i... wymknąwszy się z rąk kaprala... gwałtownym ruchem podniosło się do góry.

Kapralowi błysnęły dziko oczy. Pochwycił w obie ręce karabin, o kolano oparł i stanąwszy w pozycyi atakującej, skierował bagnet wprost w piersi porucznika.

— Zginiesz... — syknął.

Porucznik nie cofnął się, tylko oczy utkwiwszy w niego rzekł z udanym spokojem:

— Jesteś aresztowany,...

Kapralowi bagnet osunął się do ziemi. Przytomność wróciła.

— Poruczniku... umieram z pragnienia...

— Jesteś aresztowany...

Porucznik zawołał podoficera — i kapral w ręce brata musiał broń złożyć.

Rozpacz go ogarnęła... Na polu bitwy zapracował na stopień i krzyż wojskowy; wśród trudów żołnierskich stawała przed nim sława zagrzewała do wytrwania; zdaleka uśmiechała się do niego wolna ojczyzna, dziękując za pracę i poświęcenie, — dziś wszystko to, co mu gwiazdą przewodnią było, jak sen zniknęło. Jedna chwila osłabienia woli zniszczyła wszystkie nadzieje. Szedł posępny, milczący, zrezygnowany, a pod wpływem myśli, które go ogarniały, zapomniał o znużeniu, o pragnieniu.

Pod wieczór Naczelnik stanął obozem pod Szczekocinami. Obóz półkolem oparł się o las sosnowy, który piasczystem wzgórzem ciągnął się daleko, ciemno-szafirową smugą odcinając się na widnokręgu. Grube, rosochate sosny, jak forpoczty wysuwały się na przód lasu i sterczały osamotnione tu i owdzie, spoglądając ciemno-zielonemi szpilkami na żółte piaski i na kępy jałowcu, dziewanny i jałowców, skupionych razem w jedne grupę, jakby umyślnie z obawy, ażeby ich wiatr piaskiem nie zasypał. Pod lasem rozbito namioty, usypano na prędce bateryę, zatoczono działa i obóz cały ze wzgórz spoglądał na daleką równinę, we mgle której migała wieża kościoła, a równina cała zasianą była gęstemi grupami olch.

Ledwie się wszystko uporządkowało w obozie, Naczelnik kazał zwołać sąd na kaprala o przekroczenie dyscypliny wojskowej, wobec następującego nieprzyjaciela. Dowody były niezaprzeczone, więc i sąd był krótki.

Kapral zmęczony fizycznie, skołatany zmartwieniami moralnemi, zasnął — i spał jak zabity.

Ledwie brzask dzienny szarzeć poczynał, przed namiotem, — którym spoczywał — hałas się zrobił. Zbliżyła się właśnie gromadka żołnierzy, z porucznikiem na czele, a szelest ich kroków i rozmowa oficera z kimś, obok niego idącym, sprawiały szmer, który w ciszy nocnej potęgował się i nabierał tajemniczych odgłosów Jeszcze bardziej zastanawiała biała jakaś postać, idąca obok porucznika i odbijająca wyraźnemi liniami na tle szarego brzasku.

Był to ksiądz w białej komży ubrany, niosący w ręku kielich z Przenajświętszym Sakramentem.

Po chwili oficer i ksiądz wsunęli się do namiotu.

Kapral obudził się. Z gwałtownym wysiłkiem woli otworzył oczy szeroko i milczącym wzrokiem powiódł po stojących.

— Jesteś skazany na śmierć... — rzekł oficer — wyrok będzie ci przeczytany.

Kapral patrzył takim wzrokiem, jakby nic nie rozumiał, zdawało mu się, że śpi jeszcze, że jakaś nocna zmora siadła mu na piersi, dusi go, śmiercią grozi...

Oficer powiedziawszy to, wyszedł.

Ksiądz stał nieruchomy... nie śmiał przemówić....

Twarz kaprala ożywiać się powoli poczęła; pytające spojrzenie zatrzymał na księdzu. Domyślił się wszystkiego. Dreszcz go przebiegł po całem ciele, brwi się zasępiły i z ust wypadły wyrazy oderwane:

— Śmierć!... umrzeć!...

Pod wpływem dźwięku tych wyrazów zrozumiał całą grozę ich — i rozpacz ścisnęła mu serce.

Ksiądz stał niemy, nieruchomy.

tów padli trupem. Walczący bowiem za świętą sprawę poprzysięgli, że nie opuszczą pola bitwy tak długo jak stanie zapastników. Resztki opozych złożyży tu głowę.

Pole to z czasem zamieniono na ogród, na którym wzniósł się pamiątkowy pomnik. W pobliżu sterczy inna artystyczna statua, a na piedestalu jej odczyta wędrowiec lakoniczny napis:

Terencyusz Gray,

25go grudnia 19..,..

Expectans expectari *Ilias Malorum.*

Terencyusz bowiem zwycięstwo przypłacił życiem. Słowa te, jak opowiada tradycya, znaleziono wypisane na liście, który nosił na sercu marzyciel. Kula, która ugodziła go w serce przeszyła papier i gdy ją lekarze wydobyli z rany znaleźli uczepiony do niej mały zwój złotych włosów, który przechowano jako relikwię. Na miejscu, gdzie skonał wzniesiono wspaniały kościół z białego marmuru, w którym mieści się grobowiec Terencyusza.

Na wieść o zwycięztwie, Carlyle nie okazał się bynajmniej zdumionym.

„Swiat cały pod bronią — rzekł — nie pokona nigdy powstańców, którzy umiłowali szczerze wielką ideę“.

XI. Odbudowanie gmachu społecznego.

Przez lat dziesięć Carlyle dzierżył rządy przeprowadzając reformy. Naprzód zajął się kwestyą bezrobocia, potem podjął ideę generała Booth'a, nad której urzeczywistnieniem pracował tenże w sposób więcej powabny ale nie z tak zbawiennemi skutkami*). Minimum tygodniowej płacy ustanowił na 25 szylingów, maximum pracy dziennej zaś na ośm godzin, założył kolonie dla nieprzywykłych do systematycznego zajęcia (labour-colonies), ludność miejską osadzał po wsiach i wysuszył jadowite źródła, z których wypływała prostytucya, dalej wzmocnił marynarkę i zjednoczył cesarstwo węzłami federacyjnemi, jednem słowem spowodował odrodzenie społeczeństwa. Szczegółowo rozpisuje się o tem historyk Lazarus: Wielu czytelników wprowadzi on w zdumienie, wielu złorzeczyć mu będzie, bo tenże Lazarus wymawia imię Gladstone'e z wstrętem przypisując mu kłamliwość, obłudę i hypokryzyą.

W dzień święta narodowego trzykroć sto tysięcy żołnierzy Carlyle'a złyżyło broń, niegdyś odartych, teraz w świetnych mundurach. Londyn cały odmienny przedstawiał widok. Ulice ubarwiały drzewa i kwiaty, kamienne gmachy wznosiły się w miejsce ponurych, zamarłych murów. Jak inaczej wyglądały teraz te tłumy żegnające dziękczynnie swych wyswobodzicieli z pod jarzma mamony! Nie zgłodniałe, wynędzniałe i odarte, lecz złożone z zadowolnionych wolnych kobiet i mężczyzn.

Generał złożył ster rządów w ręce parlamentu ukonstytuowanego na innych podstawach w którego skład wchodzili posłowie wybierani przez mężczyzn wyżej lat dwudziestu pięciu. Pożegnawszy ciało prawodawcze, Carlyle puścił się w podróż po kraju, milczący i samotny, aby przypatrzeć się owocom swej działalności.

Celem ostatniej jego wycieczki było pole pod Purbeck.

Dzieci bawiące się tamże opowiadały że widziały go wchodzącego do kościoła, dokąd jedno za nim podążyło.

Złotowłosego chłopca tego odkryto po długich poszukiwaniach uśpionego na grobowcu Terencyusza, osłoniętego szatą generała. Ogrodzenie grobowca stało otworem. Pytano chłopca co się stało, lecz on umiał tylko powiedzieć, że spostrzegłszy dziwnego nieznajomego, zbliżył się doń i pocałował. Wtenczas posłyszał przepiękną muzykę... i pamięta nic więcej.

Nikt dotąd nie wie, jak skończył wielki dowódzca rewolucyi XXgo wieku.

Nobody.

*) Autor, zdajo się, uosabia sam siebie pod tą ostacią.

Szkoła i wychowanie.

Co czytają dzieci?

I.

Nie ma zapewne gorliwszych i więcej wrażliwych czytelników niż dzieci. Dla dorosłych ludzi książka jest tylko rozrywką, miłem przepędzeniem czasu, pożytecznem oderwaniem się od codziennych spraw trosk i kłopotów.

Dla dzieci czytanie stanowi część życia. Ich świeża, wrażliwa wyobraźnia, umysł ciekawy i głodny duchowego pokarmu chłonie treść książek i na najobfitszą własność ją przerabia. Dzieci czytają rozumem, wyobraźnią, sercem, całą duszą. — Żyją w świecie do którego ich autor przenosi, cierpią fikcyjnemi cierpieniami, cieszą się szczęściem — drukowanem. — Wcielają się one po prostu w istoty, które w książkach poznają i dzielą ich uczucia. — Echa przeczytanych wypadków odzywają się nietylko w zabawach, lecz w całem życiu dziecka. Z wrażeń książkowych snuje się tkanka marzeń na przyszłość, z nich często płyną szlachetne dążności, zamiłowania, cechy charakteru utrwalające się na całe życie i składające się na przyszły typ człowieka.

Kwestya „co dzieci czytają?“ jest ze względu na silny wpływ książek na umysł dziecinny, jedną z najważniejszych i najżywotniejszych w pedagogii, — i powinna gorąco interesować wszystkich rodziców. —

Literatura dziecinna jest obecnie już niezmiernie bogatą nawet w naszym kraju. Corocznie zwłaszcza w porze poprzedzającej Święta Bożego Narodzenia, ową ulubioną oczekiwaną „Gwiazdkę“ zasilają ją autorowie i wydawcy stosami dziełek oryginalnych lub tłómaczonych, a dziełka te cieszą się trwale wielkim popytem. — Po zatem istnieją pisemka peryodyczne (w Warszawie wychodzą dwa: „Wieczory rodzinne“ i „Przyjaciel dzieci“) darzące co Sobotę małych czytelników wiązanką ciekawych opisów, opowiadań i powieści. —

Naturalnie głównem ogniskiem tego ruchu wydawniczego jest przodująca do obecnej chwili w rozwoju piśmiennictwa Warszawa. — Jak się sprawa wydawnictw dziecinnych przedstawia w Galicyi — nie umiem czytelników objaśnić, jedno tylko wydaje mi się pewnem, że ziemie polskie pruskiego zaboru nietylko udziału w tej pracy nie biorą, lecz nawet ze źródeł stołecznych się nie zasilają zarówno co do bogactwa treści, urozmaicenia działów, zrozumienia nastroju umysłów dziecięcych jak i co do pouczających i kształcących pierwiastków. Z dziecinnych lat moich pamiętam takie pisemko, którego „great attraction“ stanowiła jakaś bajka z tysiąca i jednej nocy i jakieś niestworzone historye o wędrówkach skał, które się nocą na spacer wybierały, o rozmowie bydła przy żłobie w wigilią Bożego Narodzenia, rzeczy, które już wówczas sceptycznie mnie usposabiały i bynajmniej nie budziły mej ciekawości. Obecnie wychodzi w zaborze polskim pisemko dla dzieci. Myśl bardzo pożyteczna i szczerze przyklasnąćby można, gdyby nie to, że w wykonaniu zupełnie zwichniętą została. Pisemko to, widocznie nie dla zabawy, lecz dla nauki dzieci jest przezaaczonem, sądzę jednak, że i tego celu chybia zupełnie. Na podręcznik dla wychowawców wcale się nie nadaje i bynajmniej też, tego charakteru nie nosi, na materyał dla samouków

---

Nawał myśli i uczuć tak silnie tłoczył się w głowie kaprala, zmieniając się z szybkością błyskawicy, że się czuł bezsilnym do skupienia uwagi na jednym przedmiocie; ponad wszystkiemi jednak górowała myśl, która krwawemi zgłoskami wypisała mu się w umyśle: śmierć.

— Jakto? mam umrzeć z ręki swoich kiedy mię kula wrogów ominęła?

Ksiądz nieśmiało szepnął:

— Wyrok już podpisany... — jakby przez to pragnął powiedzieć, że trzeba mu się poddać.

Kapral zatrzymał pytające spojrzenie na twarzy księdza.

— Więc umrzeć muszę? Żadnego środka ratunku nie pozostało?

— Nadzieja łaski Naczelnika...

— Nadzieja...

Wyczerpany krótką walką z sobą i gwałtownem wstrząśnieniem jakiego doznał, usiadł na stołku i twarz obiema rękami zasłonił.

Nie płakał, bo rozpacz jego była zbyt wielką. Żal mu było, że życie oddać musi za kroplę wody, którą chciał pragnienie ugasić, za brak woli, za chwilę uniesienia. Nie chciał wierzyć, ażeby mógł położyć głowę z całą świadomością, kiedy czuł w sobie młodość, siłę, energię, a życie uśmiechało się do niego wszystkiemi blaskami młodości. Siedział nieruchomy; zdawało się, że skamieniał.

Ksiądz dotknął się jego ramienia.

— Bracie, pojednaj się z Bogiem...

Pod namiotem była cisza; zdaleka dolatywały echa pojedyńczych głosów budzącego się ze snu obozu. Z lasu odzywać się poczęły pierwsze świegoty ptactwa, ale wszystkie wrażenia przesuwały się po jego duszy bez odcisku żadnego, obojętnie, jak kropla wody na pochyłej szybie szklannej. Jedna myśl, jedno uczucie owładnęło całem jego jestestwem, na inne nie było już miejsca. Doznał nagle czegoś podobnego do paraliżu mózgu, który go pozbawił zmysłów z chwilą, gdy uczuł, że stanął na pograniczu dwóch światów — życia i śmierci.

Obóz budził się ze snu coraz wyraźniej, a z daleka dolatywały echa bębnów, odbijały się głośno od sosen do świerków — i niziną, zasianą olchami, płynęły szeroko w załomach drzew i wiosek konając.

Ksiądz zrozumiał co to znaczy; nic nie mówiąc usiadł na stołeczku i cicho modlitwy odmawiać począł.

Kapral ukląkł i oparłszy się lewą ręką o stołek, na którym ksiądz siedział, twarz dłonią zakrył i milczał.

Ksiądz nachyliwszy się nad nim, półgłosem mu szeptał o pokorze, o rezygnacyi, o życiu przyszłem...

Szmer się zrobił za namiotem, coraz głośniejszy, większy... odgłos kroków ludzkich syczał na piasku, a po chwili wszedł do namiotu popoficer i tonem rozkazu, rzekł krótko:

— Pora już!...

Przed drzwiami stało kilku żołnierzy w półkole. Oparci o kolby karabinów stali w posępnem milczeniu, spoglądając do wnętrza przez na pół odchylone drzwi namiotu.

Po chwilce wyszedł ksiądz z wijatykiem, za nim kapral w asystencyi żołnierzy, a w końcu podoficer. Gdy pierwsi dwaj wysunęli się przed namiot, żołnierze zacisnęli koło.

Podoficer zakomenderował:

— Broń na ramię! Marsz!

I cały orszak miarowym krokiem ruszył naprzód. Schodzili powoli z piaszczystego wzgórza ku wielkiej płaszczyźnie. Szary świt rozjaśniał się coraz bardziej nad płaszczyzną, z pod olch unosiły się blado-sine obłoczki pary, skupiały się, a lekki wietrzyk budzącego się poranku, na skrzydłach swoich niósł je dalej i dalej. Z wiosek, leżących na przeciwległej stronie ponizia, mgłą białą owiniętych, dolatywały głuche szmery budzącego się życia — echa jakieś niejasne, szczekanie psów, pianie kogutów. Wszystko to mięszało się razem w jeden głos życia.

Ksiądz ciągle mówił po drodze o niebie, o aniołach, o miłosierdziu boskiem, a kapral

jest zbyt nudne, suche, zbyt mało atrakcyjne i bynajmniej nie liczy się z potrzebami dziecięcego umysłu. Nie robię mu z tego zarzutu, że samemi wypełniony jest przedrukami; jestto tylko dowodem, że redakcya dostatecznemi środkami nie rozporządza, co jest raczej nieszczęściem niż grzechem. Dla dzieci zresztą napisano do obecnej chwili tyle rzeczy dobrych, zupełnie u nas nieznanych, że byle wybierać starannie i umiejętnie możnaby niemi bardzo zajmujące pisemko wypełnić. Niestety, w redakcyi obecnego pisemka nie widać ani starania, ani umiejętności, ani też żadnych wymaganych w takiem zadaniu kwalifikacyi.

Na wstępie każdego nu...ru czytamy ustęp z Ewangelii na daną niedzielę przeznaczony. Gdyby po takim ustępie dodano jakąś naukę moralną dla dzieci przystępną, jakieś opowiadanie budujące, będące illustracyą przytoczonej ewangelicznej nauki możnaby cel redakcyi rozumieć i aprobować. Nic takiego tam nie ma. Przypuszcza się przecież, że mali czytelnicy posiadają książeczki do modlitwy i z nich się modlą; w żadnym razie pisemko to takiej książki nie zastąpi i wątpię, aby je którekolwiek dziecko do kościoła ze sobą zabierało. Wobec tego uważamy pomieszczanie owych ustępów z Ewangelii za pomysł albo nie wyzyskany, albo bezcelny. — Dalszy ciąg każdego numeru wypełniają bardzo suche opisy nie okolic, lecz miast polskich, przepełnione nazwiskami i faktami, a nadto wcale nie ubarwione dzieje różnych gmachów w Poznaniu i wiersze przedstawiające historyą Polski tak treściwie, że w dwóch szpaltach mieści się długa epoka od Łokietka do Batorego. Odwołuję się do wszystkich pedagogów z zapytaniem czy dzieci takie rzeczy chętnie czytają, czy z nich jakąkolwiek korzyść odnieść mogą? Czasem dla osłodzenia niesłychanie nudnej treści numeru drukuje się coś bardzo dziecinnego i głupiutkiego np. opowiadanie o „krasnoludkach“ którzy z pod pieca złocistemi karetami wyjeżdżają, zajadają ucztę na środku pokoju i potem znów pod piec temiż powracają karetami. — Czytałam czasem bajeczki bardzo nieprawdopodobne, lecz bardzo ładne, pełne poezyi — jak bajki Andersena, dowcipne — jak opowiadania braci Grimm lub Hoffmanna — a przedewszystkiem mające tę wartość, że pod barwną allegoryczną szatą kryją jakąś prawdę życiową. Takich bajek tu nie spotykamy; a w opowiadaniach „krasnoludkach“ — nie można się dopatrzeć ani poezyi, ani dowcipu, ani nauki moralnej. — Śmiało rzec mogę, że jedyną atrakcyą dla czytelników stanowią tam zagadki, szarady i logogryfy, jedynie też one jakiśkolwiek interes budzą. — Dla mnie jednak najciekawszemi i najcharakterystyczniejszemi są odcinki ostatniej kolumny mieszczące rady, wskazówki lub wykłady stanowiące jakoby essencyą pedagogicznej mądrości.

Inny artykuł np. szumnie zatytułowany „Dom i świat“ mieści tak ciekawe i oryginalne objaśnienia, że warto z nich kilka przytoczyć.

„Nad ziemią unosi się powietrze, a *nad powietrzem* widać firmament niebieski.

Tylko tyle: objaśnień żadnych o powietrzu i firmemencie nie ma. Wolno dzieciom myśleć, że firmament jest rodzajem dachu od wewnętrznej strony na niebieski pomalowany kolor. — Dalej:

„Latem *wypadają* z chmur błyskawice, które *dają* grzmoty.“ — Błyskawica daje grzmot! ale nie na tem koniec: „Jeżeli błyskawica pada na ziemię, to się to nazywa piorunem czyli gromem. Po burzy letniej, gdy *przed nami* deszcz pada, a słońce z *z tyłu* świeci, widać na niebie tęczę.“

Widziałam już niejedną tęczę na niebie, ale takiego zjawiska, aby deszcz *padał przedemną*, a słońce świeciło *z tyłu* — nie widziałam.

W dalszym wykładzie czytamy, że ziemia jest kulą, „leci *przez ogromne przestrzenie* i obraca się na około siebie,“ że koło niej obraca się inna kula, zwana księżycem. O tem że ta ziemia krąży koło słońca, nie ma wzmianki, choć później dowiadujemy się, że na firmamencie widać prócz księżyca — słońce i gwiazdy. Widocznie przedruk wzięty z jakiegoś dzieła, wydanego przed Kopernikiem przez autora, któremu wystarczył fakt, że ziemia leci, i nie pytał się dokąd i którędy. Można astronomii dzieciom nie wykładać, ale jeśli im już mówimy o ciałach niebieskich, toć lepiej mówić prawdę, niż przedhistoryczne plotki. „Obrót ziemi na około siebie daje dzień i noc, czyli jedną dobę.“ Ztąd wynika związek między obrotem ziemi, a zmianą dnia i nocy, to pozostaje naturalnie dla czytelników tajemnicą, a może jest nią i dla autora, gdyż dowiadujemy się dalej, „iż doba ma 24 godzin: 12 dziennych i 12 nocnych.“ To nam zdradza smutny fakt, że redakcya pouczającego pisemka nie czyta nawet kalendarza! Gdybyśmy się nie obawiali narazić jej na wielki ambaras, wystósowalibyśmy do niej zapytanie, w jaki sposób odróżnić godziny dzienne od nocnych, gdyż latem bywa niekiedy blizko 17 godzin zakrawających wyraźnie na dzienne.

Nic — na takie traktowanie sprawy nie godzimy się wcale — jestto po prostu karykatura pedagogii i karykatura pisma.

Nie bylibyśmy się tak długo zatrzymywali nad tem nieudolnem pisemkiem, gdyby nie to, iż ono jest charakterystycznym objawem nędzy wyjątkowej, jaka u nas na polu wydawnictw dla dzieci panuje. W społeczeństwie, w którem biblioteki dziecinne byłyby obficie w dobre rzeczy zaopatrzone, nie ośmieliłoby się ono na światło dzienne wynurzyć. Dowodzi ono jeszcze, iż jak pod innemi względami, tak i na polu pedagogii i literatury dziecinnej pozwoliliśmy się o bardzo znaczny dystans wyprzedzić nietylko innym europejskim społeczeństwom, lecz naszemu własnemu — a odgrodziwszy się parkanem z grubych desek od reszty świata, grzęźniemy w obyczajach i pojęciach, stanowiących doskonale zakonserwowany archeologiczny zabytek.

Ludzie odważni, którzyby w tym parkanie wyłom zrobili i choć w dalekiej perspektywie ukazaliby nam, co się dzieje w kraju i w Europie, uczyniliby może uszczerbek archeologii, lecz nam oddaliby wielką przysługę, torując drogę postępu i rozwoju.

I. Moszczeńska.

LITERATURA I SZTUKA.

Fazy twórczości Asnyka.

(Ciąg dalszy.)

Te wielce niepochlebne epitety, jakiemi Asnyk scharakteryzował ów „proch podły“, owe „bezgłowne karły“, owe „mary krzywoprzysiężne, roznamiętnione do niezwykłych lotów“ dźwiękiem harfy „wielkiego potępieńca“, musiały obudzić w czytelnikach myśl, że poeta jest nieprzyjacielem pewnych conajmniej form poświęcenia i ofiary i że dla nieszczęść i klęsk ludzkich nie ma współczucia. Taki wniosek wyciągnąć musimy z trzeciego obrazu, czyli z „epilogu“, do „snu grobów“. Jest on odmienny i pod względem tonu i pod względem przedmiotu od dwu poprzednich. Ton jest elegijny, postać anioła przeznaczeń zniknęła, treści podmiotowej wcale nie ma, tylko skarga na świat obecny, w którym ludzie ośmieszają dzisiaj to, co wczoraj wierzyli i „śród szyderstw głuszącego szumu do swych poziomów wszystko zniżyć pragną“, oraz zapewnienie, że poeta z tłumem tak żyjących mięszać się nie chce i dla tego nie snuje dalszego ciągu obrazów ze „Snu grobów“, ażeby nie sądzono, iż on im złorzeczy

---

szedł milczący, wzrok utopiwszy w dalekiej przestrzeni, drgającej życiem, jakby ją pragnął wchłonąć w siebie i zatrzymać na wieki. Pojedyńczo stojące wśród piasków gałęziste sosny, szumiały mu smutną piosenkę pożegnania a wiatr strącał z igieł rosę, która na twarz mu padała.

Śród szarzejącego brzasku wzrok jego zatrzymał się na gromadce ludzi skupionych niedaleko rozłożystej sosny, do której zdążali właśnie, Była to ta sama kompania, z którą razem zdobywał działa pod Racławicami. Stała teraz niema, uszykowana we dwa skrzydła z dwóch stron onej sosny.

Serce mu drgnęło nieznanym dotąd bólem; zacisnął usta, ażeby łzy cisnące się do oczu powstrzymać.

Coraz jaśniejszym wzrokiem widział wszystko przed sobą. Zbudziła się w nim świadomość tego, co się stać miało.

— Do tej sosny przywiążą mnie... — pomyślał.

Wzrok jego szukał jeszcze czegoś.

Spostrzegł... O kilka kroków za sosną kupa żółtego piasku wpadła mu w oko.

— Tam mogiła moja...

Przesunął spojrzenie na szeregi żołnierzy — i na lewem krzydle spostrzegł braci...

Ręce ścisnęły mu się kowulsyjnie, sam nie wiedząc dlaczego.

Wtem strzał padł — jeden, drugi... od strony czaty obozowej.

Poleciały echa doliną i drząc w powietrzu, ponad wierzchołkami lasu popłynęły daleko.

W obozie alarm się zrobił. — Straż dała znać, że oddział Moskali półkolem szykuje się w dolinie, ukrywając się pod zasłoną mgieł porannych i olch.

Żołnierze, konwojujący kaprala, stanęli właśnie przed sosną.

Na wzgórku, w rozmaitych stronach obozu grały trąbki, huczały bębny i wojsko szykowało się do walki niespodziewanej.

Kapralowi czytano tymczasem wyrok śmierci.

W chwili czytania padać poczęły od przedniej straży strzały od strony naszej i wrogów

Rozpoczynała się bitwa.

Porucznik jego własnej kompanii czytał wyrok spokojnym, pewnym głosem, jakgdyby nie wiedział o tem, że stoją wobec nieprzyjaciela, jak gdyby wystrzałów nie słyszał.

W tem od strony Moskali padł strzał działowy, i powietrze hukiem zadrżało. Drżenie to uderzyło o serce kaprala. Stanął w pozycyi wyciągniętej, rękę podniósł do skroni i zwróciwszy się do oficera, rzekł:

— Poruczniku! proszę mi pozwolić zginąć z bronią w ręku! Pójdę i w pierwszym szeregu padnę!

— Taka śmierć tylko dla odważnych żołnierzy...

Kapral podniósł rękę i z dumą pokazał krzyż zdobyty na polu bitwy Racławickiej.

— Byłem odważny... — rzekł.

— Byłeś słaby... ojczyźnie tylko silni służyć powinni... Ze słabych podli się rodzą!

Kapralowi krew do głowy uderzyła falą. Rękę od skroni odjął, podniósł ją wysoko, skinął energicznie i zawołał:

— Ha! nie chcę waszej litości!

Zwrócił się w stronę, gdzie bracia stali

— Bądźcie zdrowi bracia! Pożegnajcie matkę... powiedzcie, żem zginął walecznie... lecz nieszczęśliwie.

Sam ruszył ku sośnie... A z daleka padały coraz gęściej wystrzały karabinowe, a do wtóru działa grały...

wraz z „tłuszczą“, co się boi i płaszczy, z boleścią, nie bacząc na słowa anioła przeznaczeń, jakie wypowiedział w części pierwszej, stwierdza, że „ideał starców łamie się zepsuty“, a młodzież „kłamstwo zadaje przeszłości natchnieniom“. Wie on, że ażeby żyć dalej, trzeba ukochać jaką nową marę i „nowe tęcze na niebie rozpinać, wątpić i wierzyć i znowu tracić wiarę“; ale do rozpoczęcia tej nowej pogoni za ideałem odstręcza go podłość ludzi, więc woli wrócić do „splamionego grobu, jak upiór, któremu serce trza odjąć i głowę, aby nie straszył“.

Pomiędzy napisaniem pierwszych dwu części „Snu grobów“, a trzeciej upłynęło, jak już wiemy, półtora roku czasu, co oczywiście i na umysł poety nie mogło pozostać bez wpływu, gdyż zachodzące i w nim samym i w życiu ogólnem zmiany musiały oddziaływać. W tych latach dokończył Asnyk swoich studyów uniwersyteckich, uczęszczając na wydział filozoficzny w Heidelbergu, gdzie się oddawał nauce ekonomii politycznej i dziejów. Stopień doktora filozofii otrzymał tamże w roku bitwy pod Sadową, która tak ważną miała odegrać rolę w historyi nietylko dwu walczących ze sobą państw, ale i Europy całej.

Dla Galicyi otworzył się naówczas nowy okres rozwoju. Przybywszy tutaj, Asnyk osiadł we Lwowie i wziął udział w czasopiśmiennictwie. Rzeczą jest znamienną, że poeta, który poprzednio w utworach swoich wyłącznie temata rozległe brał pod uwagę, teraz bardzo rzadko daje się natchnąć sprawom, które tak gorączkowo wtedy poruszały umysły w Galicyi z powodu zaprowadzonej autonomii i zapewnionego uczestnictwa tej prowincyi w ogólnem życiu państwa austryackiego. Co więcej, wogóle nawet porzuca zagadnienia ogólniejsze, a zwraca się przeważnie do malowania dziejów serca.

Dlaczego się tak stało? Politykę galicyjską, z wyniosłego patrząc na nią stanowiska, mógł lekceważyć, a zabiegi swoich spółziomków podzielonych na stronnictwa, jako drobne satyrycznie traktować; ale po za nią istniała przecież sfera natchnień wielkich, które do duszy poetycznej przemówić mogły. Otóż zdaje się, że zwątpienie, przed którem dotychczas się bronił, teraz opanowało jego serce i umysł i przejawszy go przekonaniem o bezowocności nawoływań do uczestnictwa w „świecie idealnym“, ponieważ nasuwało się dręczące a nie rozstrzygnięte pytanie, po co ludzkość żyje, cierpi i umiera, kazano mu się zamknąć w zakresie serca własnego, wypowiedzieć jego niepokoje, żale, tęsknoty, upojenia, rozpacze. Okazało się niebawem, że potrafi to zrobić po mistrzowsku i pozyskać sobie liczne grono słuchaczów, którzy tych samych doznawali wruszeń i wstrząśnień, lubo wyrazić ich nie umieli.

II.

Ta druga faza w rozwoju talentu Asnyka pospolicie chakteryzowaną bywa, jako zależna zd wpływów Heinego i Musseta. Jestto określenie niezupełnie słuszne, a przynajmniej nieścisłe. Niewątpliwie poeta nasz, obok Słowackiego, od którego przejął tajemnicę języka pełnego blasku i barwy, rozczytywał się pilnie w pismach niemieckiego i francuzkiego liryka. Niewątpliwą jest również rzeczą, iż w niektórych (bardzo zresztą nielicznych) utworach ślady bezpośredniego oddziaływania poezyi Heinego mianowicie wykryć się dają. Na ogół atoli biorąc, ma Asnyk ton swój własny i do rzeszy naśladowców liczyć się zgoła nie powinien. To, co ma wspólnego z Heinem i Mussetem, iż uczucie jego przechodzi wciąż przez filtr refleksyi, nie może być poczytywane za jakąś od nich pożyczkę, lecz za właściwość jego umysłu; nigdy on bowiem nie pozował, jak słusznie zauważył, Tarnowski, nigdy nie przybierał szat cudzych, zawsze był sobą, zawsze był naturalnym, jakiegokolwiek rodzaju wypowiadał uczucia. A skala tych uczuć jest bardzo rozległa, poczynając od naiwności dziecięcej, a kończąc na zgrzycie rozpaczy i rozmiłowaniu się w śmierci. Wszelkie przez serce przepływające wrażenia, wstrząśnienia, nawet najlżejsze i najsubtelniejsze, wszystkie możliwe nastroje, jakim umysł wrażliwy a wykształcony ulegać może, umiał on w formie pełnej wdzięku niewypowiedzianego wyrazić.

Najdawniejszym w tym nowym kierunku jest wiersz: „Pijąc falerno“, drukowany bezpośrednio po III części „Snu grobów“ w r. 1867. Jest to wyraz rozpaczliwego rozstania się z wszelkiemi ideałami, z chęcią zatopienia smutku i goryczy w kieliszku. Poranek życia krotki, więc trzeba go użyć: życie nie żart, niech się stanie naszem hasłem, miłość serdeczną zamieńmy na miłostki; miejmy pijacką bezczelność; a może dopijemy się nieśmiertelności, „w piwnice pójdziemy rajskie, wybierać z beczek wieczności wina tokajskie“: a że winnice rosną i na grobach, więc odstraszyć nas nie powinny mogiły, ani upiorne duchy, co się z nich nam ukażą, a jeżeli nam mimo naszych usiłowań wspomnienia zbyt dokuczać będą, to klnąc w pijanym szale, można sobie w łeb wypalić.

Obok tej, ciągłemi krwawej ironii dysonansami tętniącej pieśni, pojawia się inna w zupełnie odmiennym tonie, bo i w odmiennym usposobieniu napisana; „Na przedpieklu“, gdzie opowiedział poeta na pół żartobliwie, na pół satyrycznie wędrówkę duszy szlacheckiej na sąd piekielny, który ją uznał za zbyt rubuszną dla piekła, bo szlachcic nie gustował w poezyi, strzegł się ideologów, nie cierpiał postępu, a jedyną jego ambicyą było zostać posłem. Sędziowie piekielni kazali wrócić szlachcicowi na ziemię, obiecując mu, że zostanie obrany posłem, a nawet zasiądzie w rajchsracie, domagają się tylko na dowód wdzięczności, żeby się ucierał żywo o propinacyę, żeby zdobywał dużo koncesyi na banki i koleje i żeby był zawsze śmiało bezczelnym.

Wątłość uczuć niewieścich i ich zmienność dostarczyła poecie bardzo dużo wątku do ślicznych liryk, w których nigdzie nie ma tego tonu namiętnego oburzenia, jakim wybuchnął Gustaw przeciw „puchowi marnemu“, ale jest ciągle łagodna, rozmaicie, a przepysznie cieniowana ironia. Najpierwszym w tym szeregu wierszem były „Niezabudki“. Przy rozstaniu wręcza kochanka lubemu kwiat pamięci, by, gdy za powrotem nie zastanie jej przy życiu, rzucił go na jej grób „w noc miesięczną“. Wraca luby, którego nieraz dręczył sen straszny o śmierci ukochanej, i zastaje kochankę w uścisku z jakimś młodzieńcem. Nie przeklął jej wszakże; owszem, sam prowadził „rajskie dziecię“ do kościoła na ślub z owym młodzieńcem, tylko na weselu „w noc miesięczną“ wpiął we frak niezabudki kwiecie. Dziś już nie wierzy ani w straszne sny prorocze, ani w niezapominajki. Innem wcieleniem tej samej myśli jest „Legenda pierwszej miłości“, gdzie młodzieniec, poetycznie nastrojony, kocha zwykłą pospolitą gąskę, każde jej odezwanie się umie sobie wytłomaczyć w sposób dla niej pochlebny, nawet wtedy, gdy jego miłość własna jest dotknięta, każdy szczegół najprozaiczniejszy potrafi upoetyzować, a ubierając postać ukochanej we wszystkie blaski własnej wyobraźni, zapytywał się nieraz sam siebie, czy jest godnym tak czystej miłości... A oto rozczarujące zakończenie:

> I byłbym rzucił wszystko — gdy trzeba,
> I poszedł za nią prosto do nieba,
> I byłbym poszedł za nią do piekła...
> Gdyby nie... była z drugim uciekła...

Taka to była prostota, niewinność, poetyczność ukochanej. W „Karmelkowym wierszu“ jest niejako morał, wyciągnięty z legendy pierwszej miłości. Dawniej wierzył poeta w uczucie, aniołków brał na seryo, uwielbiał lalki i gotów był bić się za Dulcyneę z Tobozo; dziś zna na wylot komedyę salonu i wie, że z serca niewielki pożytek, więc ma dla dam w zapasie... karmelki. W „Spóźnionej odpowiedzi“, odmalowawszy bardzo mile uczucie swe i wyznanie wobec rozrzewnionej panienki, która odpowie-

---

Wanda de Boncza.

(Rozmowa z polką-paryżanką).

„Sędziowie dziwnie tego roku okazali się surowymi: pierwszej nagrody nie przyznali w klasie tragedyi żadnej kandydatce, w klasie komedyi najlepszy kandydat uznany został za godnego ledwie nagrody drugiej; w oddziale kobiet tej klasy natomiast j e d n o m y ś l n i e pierwszą nagrodę przyznano pannie „Wanda de Boncza“.

Temi mniej więcej słowy obwieściły dzienniki paryzkie wynik tegorocznego konkursu w tutejszem konserwatoryum, dodając do wiadomości tej suchej najróżnorodniejsze komentarze. Jednym zgodnym chórem sławiono w nich wdzięk i piękność laureatki, niektóre organy zapowiadały pojawienie się nowej pierwszorzędnej gwiazdy: inne, nie idąc tak daleko, świetną jej przecież wróżyły przyszłość, stwierdzając, że nie lęka się widocznie pracy, skoro piękny jej talent tak potężnie się rozwinął od roku zeszłego, gdy odznaczono ją tylko pierwszym „*accessit*“. Najniechętniejsze złośliwie podsuwały myśl, że panna „Wanda de Boncza“ swą urodą oszołomiła Dumasa, zawróciła głowę panu Claretie, zbałamuciła Lemaitra, podbiła Ambr. Thomasa, oplątała Halevego, Sarceyowi na wosk roztopiła serce, a Mounet-Sully jednem spojrzeniem ujarzmiła, i *jury* wyrok swój wydał w stanie niepoczytalnym. I pełno było „Wandy de Boncza“ po wszystkich dziennikach; portrety jej widniały i po pismach ilustrowanych i w publicznych salach depesz, na bulwarach i po wystawach sklepowych. W jednym dniu tą jednomyślną uchwałą tak zresztą w tym roku surowego *jury* zaciekawiła ona wszystkich, pozyskała ten jednodniowy paryzki rozgłos, który przy talencie, pracy i szczęściu bywa początkiem sławy, dającej stanowisko i fortunę, lub początkiem rozczarowań, zawodów, zapomnienia.

„Wanda de Boncza“; kto jest ta „Wanda de Boncza“? Kto jest dziewczyna ta, występująca na paryzką widownię pod starym znakiem „w błękitnem polu jednorożec biały“? Nikt mię objaśnić nie umiał. Dał wprawdzie „Figaro“ wiadomość, że to „paryżanka, urodzona z rodziców polskich“; tego byłbym się bez niego domyślił; jusciż Bończe nie z hiszpańskich rodziców się rodzą. Ale dla tego właśnie, że „z polskich urodzona rodziców“, zaciekawiła mnie tegoroczna paryzka laureatka. Pierwsza nagroda w konserwatoryum otwiera tym, co ją zdobyli, drogę do pierwszych scen paryzkich, ale droga to mozolna i ciernista. Chlubnem jest uznanie *jury*, złożonego z największych powag, ale krok to dopiero pierwszy: wyrok *jury* ratyfikować musi publiczność. Publiczność podbić trzeba, krok za krokiem walcząc z zazdrością tych wszystkich, dla których klęską jest każdy nowy tryumf rywalki. Wybijając się, zwyciężać potrzeba bez przerwy, a w walce o względy teatralnej publiczności zwyciężeni nie padają, ani też składają broni, zwiększają tylko szeregi przeciwników. By odwet sobie zapewnić, wszelką posługują się bronią, sojuszników szukają w kancelaryach dyrektorów i w lożach znanych aktorek, o role swoje zazdrosnych, i wśród upokorzonych rówieśniczek, i pośród dziennikarzy, których piórem nie zawsze ścisła kieruje bezstronność, aż do teatralnej klaki, przecinającej niewczesnym oklaskiem popisową tyradę, by efekt jej zatrzeć i zniweczyć. Sieć cała intryg i komeraży omota młodą dziewczynę, by ją ubezwładnić, stanowczego wybicia się nad innych nie dopuścić. Początki artystki, to zażarta walka, aż do osiągnięcia zwycięstwa lub — rezygnacyi. I na tę walkę porwała się dziewczyna młoda, osiemnastoletnia Wanda, i to jeszcze Bończa, a ja nic się o niej dowiedzieć nie mogę, żem aż powtarzał z Niesieckim: „Kwestyą jest pomiędzy wielą uczonymi zgęszczoną, czy jest na świecie jednorożec biały.“

Kto jest ta Wanda de Boncza? Jeżeli nie braknie jej sił i odwagi, - dopisze talent, nie

dzieć nie mogła z powodu nadejścia mamy, powiada, że to niejakim czasie znalazł jej odpowiedź, gdy usłyszał w kościele jej zapowiedź. „Scherzo“ najbardziej przypomina manierę Heinego. Siedzi smutny Janek, bo do lubej wysłał liścik, a nie otrzymał odpisu, ani żadnej oznaki życia. Wtem wyszedł księżyc z gospody niebieskiej, zrumienione miał lica i nabrzękłe oczy. podpił widać sobie, tacza się wśród drogi i chce się brać do gwiazd, które przed nim jako przed staruchem. uciekają. Smutny Janek, ujrzawszy go, przyzywa do siebie, zaprasza na fotel, by sobie odpoczął. Księżyc jakby przeczuwał, skąd go ta uprzejmość spotyka, bo oburkliwie narzeka na swój obowiązek przyświecania swą latarką wszystkim, co chcą romansować, i przysłuchiwania się wciąż tym samym uniesiom i klątwom.

Każdy myśli z tych młodzików,
 Że on tylko jeden
Pełna piersią wykrzykników
 Odkrył nowy eden..
Gdy go zdradzi ładne dziecię,
 Wtedy znowu mniema.
Że na całym Bożym świecie
 Nieszczęśliwszych nie ma

Smutny Janek przerywa gderliwemu staruszkowi i odmalowawszy mu swoją miłość czystą i bezinteresowną. prosi go tylko, by mu powiedział, co porabia jego miła, obiecując za tę wieść oddać wszystko, co posiada. Księżyc, szczwany w takich sprawach, odpowiada mu z ironią; jesteś hojny, bo posiadasz mało; ale mniejsza o to, dam ci wieść o twej ukochanej; list twój doszedł do niej, lecz ona miała już innego powiernika, wydobyła twe pismo i poszeptawszy coś do ucha siedzącemu obok młodzieńcowi, podarła je z uśmiechem. „O. niegodna! o. zdradliwa! — zawołał Janek z gniewem — tak mnie zwieść... szkaradna! — Co mi z tego, że jest żywa... A niechaj przepadnie!...“ Księżyc się zaśmiał, ramionami wzruszył, słysząc tę furyę miłosną, która go nudziła, a gdy go Janek chciał przytrzymać za kożuszek, aby swe żale przed nim wylać, on w mig mu się wysunął, zostawiając tylko „lisią czapkę“.

Wiersz „Szumi w gaju brzezina“ objaśnia i niejako usprawiedliwia nawet tę zmienność uczuć zestawieniem jej z odpowiedniem zjawiskiem przyrody. Szumi brzoza na wiosnę, wzdycha dziewczyna po miłym; w zimie brzoza liści się pozbywszy, już szumieć nie może, dziewczyna zaś, wspominając o lubym, smutnemi oczyma zacznie szukać... drugiego. W wierszu zaś „Ty czekaj mnie“, sam już kochanek upoważnia lubą, by poszła za mąż, gdy się jej sposobność zdarzy, bo jej ta skróci czekanie; on zaś ze swej strony obiecuje powrócić, chociażby z grobu powstać miał... jeżeli mu tylko pozwolą.

Takie jednak lekkie, ironiczne traktowanie miłości nie wyklucza bynajmniej u poety wiary w jej potęgę. Pod wpływem ukochania silnego zdaje się wracać wiosna życia, w sercu topnieje lód zwątpienia, świat ślubne znów przypiera szaty, dusza dostaje skrzydeł, wierząc w wieczny cud miłości („Ja ciebie kocham“, „Dziwny sen“, „Uwielbienie“, „Wątpliwości“. To też poeta umie ślicznie odtwarzać i naiwność z odrobiną kokieteryi („Bławatek“) i chwile upojenia zarówno zmysłowego („Róża“, „Anakreontyk“, „Ach, powiedz“), jak i duchowego („Lilie wodne“, „Serenada“), chociaż wie, że chwile te krótko trwają, gdy mówiąc o „Kwiecie paproci“, powiada, że „młodość umie go dojrzeć w cudowności lesie“.

A choć nie uszczknie kwiecia ideału
 Co pod ręką jako sen przepada..
Jednak ma chwilę ekstazy i szału
 W której jest pewną. że niebo posiada

. . . .

Kwiat ów cudowny tajemniczo wschodzi
 I w pocałunku kwitnie niewidzialny!
Tyle też jego trwania. Gdy z zachwytu
 Zbudzona dusza chce go ująć w dłonie,
Zniknął bez śladu.. tylko wśród błękitu
 Zostały po nim jakieś dziwne wonie.

Piotr Chmielowski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

....

(Ciąg dalszy).

Trzeciemu z trójcy. samemu p. Koźmianowi udałoby się wyjść z tej całej afery na czysto, gdyby nie to, iż wytoczono „*Czasowi*“ proces za artykuły, w których pismo to miało się dopuścić zdrady stanu. Odsiedział tedy p. Koźmian trzy miesiące w areszcie, wspólnie z Antonim Kłobukowskim. drugim redaktorem „Czasu“. Józef Szujski uniknął aresztowania“, alеż za co go miano aresztować kiedy p. Koźmian zaświadczył, iż do niczego nie należał. Aresztowano natomiast wszystkich członków komitetu wschodniej Galicyi.

Zbliżamy się do końca, mamy bowiem przed sobą już tylko jeden rozdział *Rzeczy* p. Koźmiana.

„Ciągnął i wił się ogon powstania przez pierwsze miesiące 1864 roku. P. Koźmianowi „przyszło jeszcze stoczyć z końcem owego zgubnego ruchu walkę już jałową“.

Dowiedziano się, iż w Warszawie dokonali zagorzalcy wewnętrznego zamachu na Rząd Narodowy. Powstał komitet rewolucyjny mający na czele niejakiego Brzozowskiego, który korzystając ze ścigania przez policyą Rządu Narodowego, usiłował pochwycić jego władzę, oddać główne kierownictwo nad powstaniem Kurzynie, zausznikowi Mierosławskiego i przerzucić powstanie do Galicyi. Z tego powodu istniejący w Krakowie spisek pod nazwą *Straż narodowa*, zażądał od galicyjskiej organizacyi narodowej uznania samozwańczego rządu. Nad żądaniem tem, zastanawiono się na licznych zebraniach. P. Koźmian nie szczędził zabiegów, wciąż głos zabierał, aby nie dopuścić do owego uznania, „odgadywał bowiem myśl szaloną przeniesienia powstania do Galicyi“. Starł się nawet silnie z Zyblikiewiczem. Na szczęście jeden z „apostołów“ owej tajnej władzy wygadał się, że trzeba oddziały przerzucić do Galicyi. „Rozwidniło się wszystkim w głowach, nowego rządu nie uznano. Niepotrzebnie jednak p. Koźmian chwali się, że „spełnił obowiązek“, bo rozstrzygającem było jedynie owo kolosalne głupstwo, z jakiem się wygadał „apostoł“.*)

Rząd austryacki ogłosił w lutym 1864 stan oblężenia w Galicyi. P. Koźmian zastanawia się nad tem, coby to było, gdyby to był uczynił w styczniu 1863. Ba! coby to było! — łatwa sposobność do tworzenia fantazyi. Ciekawszem nadto jest wyznanie, że stan oblężenia przypisywano wpływom i radom kilku obywateli galicyjskich. Jeżeli to prawda, to p. Koźmian żałuje, iż wcześniej ci obywatele nie użyli swojego wpływu. W Paryżu nie zrozumiano użyteczności stanu oblężenia, a nawet Drouyn de Lhuys wyrzucał go Metternichowi.

Wreszcie 18 kwietnia Napoleon powiedział ks. Czartoryskiemu, że w sprawie polskiej „wszystko skończone“. Na wiadomość o tej rozmowie, uszczuplone aresztowaniami *grono krakowskie* usunęło się od wszystkiego. To jest właściwie usunął się p. Koźmian. który sam w sobie grono krakowskie mieścił, po aresztowaniu St. Tarnowskiego i wyjeździe do Anglii Ludwika

*) Fakt opowiedziany miał się stać w I kwartale 1864 r. — dokładnej daty p K. jak „prawie zawsze“ nie podaje. Z Materyałów jednak widzimy, iż Straż narodowa koło sierpnia w 1863 rozwiązaną została. Mierosławski zaś był w Krakowie w październiku. O dokładności p K, później zresztą powiemy. Tu tylko wyrażamy zdziwienie, iż konserwatyści nieumiejący żyć w zgodzie z Rządem Narodowym i nie chcący go słuchać, kiedy był nawet umiarkowany, wchodzili w pakta z jakąś Strażą pokątną, niczego niereprezentującą.

---

osłabnie praca, o sławnej rozpisywać się będą dzienniki, opowiadać najmniejsze szczegóły jej życia; czytelników zaś interesować może będzie, jak do walki tej sposobi się młoda ich rodaczka, nieznana wczoraj, głośna dzisiaj, sławna jutro, lub zapomniana. I dla tego kołatałem na prawo i lewo, długo napróżno. „Kwestya coraz bardziej była między uczonymi zgęszczona“, nikt objaśnić mnie nie umiał. Szukaj po Paryżu! Paryż wielki. tak wielki (prawie), jak upór ciekawego dziennikarza, więc dzisiaj, o godzinie 8 wieczorem, w dzielnicy Batignolskiej, dzwoniłem na 5 piętrze domu pewnego przy ulicy Nollet i po krótkiem parlamentowaniu dowiedziałem się, że p. Gustawa Rutkowskiego nie zastałem w domu, jest tylko pani Rutkowska, matka i — panna Wanda.

— Panie, proszą.

Tryumf! jestem u celu. Wchodzę.

Wolno było Homerowi unikać trudnego opisu wdzięków Heleny, starcom tylko trojańskim kładąc w usta zaklęcie, że dla takiej warto toczyć 10-letnie boje: Homer miał wymówkę; był bardzo krótkowidzącym. Mnie nie uchodzi wykręcać się sianem, powoływać na dziesięciu oszołomionych starców z *jury;* napisać muszę, com ujrzał. W saloniku zastałem dwie panie, patrzyłem — obowiązek dziennikarski przedewszystkiem — na młodszą z nich tylko, Wandę de Boncza, sumiennie. Wzrostu średniego, raczej nizka, figurka szczupła, nerwowa, nakreślona linijami zaokrąglonemi i pełnemi, oto sylwetka, która zarysowała się przedemną w świetle lampy, stojącej na biurku, rzucającej światło pełne na twarz podłużną, nosek cienki, orli, z rozwartemi chrapkami, śmiało i ciekawie zawieszony nad ustami wązkiemi, o wargach wydatnych, wpółotwartych, za któremi lśni się coś i bieli: broda z zawziętym uporem trzyma się przedniej linii profilu, ustąpić nie chce ni kroku, mimochodem ślicznie zaokrąglając owal. Wszystko to uśmiecha się i drga życiem pod furą włosów czarnych, jak heban, napiętrzonych na czole; jeszcze czarniejsze szerokie taśmy brwi: najczarniejsze za długiemi rzęsami dwie wielkie bryły węgla bez połysku, w których chwilami coś zapala się, żarzy. Młodziutkie to jeszcze, dorosłe prawie, bo nazwać jej nie można cudownem dzieckiem, przecież „cudowne dziecko!“ zawołał podobno na konkursie Aleksander Dumas, przecierając binokle.

(Uwagi powyższe uczyniłem, robiąc wolnym krokiem cztery kroki, dzielące drzwi od fotelu, na którym rozgościwszy się, przystąpiłem do systematycznego interview, które powtarzam wedle notatek, skreślonych na miejscu).

Rozpocząłem od opowiedzenia, co mi o „Wandzie de Boncza“ wiadomo z paryzkich dzienników i prośby o uzupełnienie tych informacyi.

— Raczej zastąpienie ich prawdziwemi — zawołała po francuzku panna Wanda — już to pp. dziennikarze piszą, co im się podoba; pierwszy raz w życiu byłam obecnie przedmiotem interviewów i nie mogę się jeszcze przyzwyczaić do czytania słów rzekomo moich własnych, których nie powiedziałam nigdy. Np. to śmieszne wyznanie wiary: „jestem paryżanką, urodzoną z rodziców polskich“, które ze zdumieniem wyczytałam w Figarze“.

— Tą paryżanką — przerwała pani Rutkowska po polsku — ubawiliśmy się wybornie, nazywamy Wandę odtąd w domu „paryżanką“...

— Ostatecznie nazwa nie tak znowu fałszywa — wtrąciłem — wszak tu urodzona.

— I ja urodzona w Paryżu — odparła pani Rutkowska żywo — urodzona i wychowana; mój ś. p. ojciec (Bojanowski) przeniósł się do Francyi przed przeszło 60 laty, więc i ja paryżanka! Mąż mój paryżaninem dopiero od lat 35.

— A czy młodsza paryżanka mówi tak dobrze po polsku, jak jej matka?

— Nie, panie; wstydzę się, ale nie. Dzieckiem mówiłam zupełnie biegle, potem przez czas nauki tak straciłam wprawę, że rozumiem wszystko i znam język dość dobrze, by raziły mię brzydkie dźwięki, które wydaję, gdy mówić chcę po polsku. Uczyć się, na to nie mam obecnie czasu, a wstyd mię kaleczyć język, więc nie mówię.

Wodzickiego Komitety galicyjskie rozwiązały się. Jednocześnie „*Czas*“ zaznaczył zakończenie powstania.

Z ustaniem wszelkich widoków obcej pomocy, z wyraźnem i stanowczem oświadczeniem Napoleona III, na woli i zamiarach którego oparliśmy nasze postępowanie, że dalsze trwanie powstania jest bezowocnem, znikał dla nas jedyny powód popierania go i brania udziału w wypadkach“. Tyle jest słów p. Koźmiana, po za któremi kryje się wstydliwie myśl dalsza: przestaliśmy brać udziału — więc powstanie upadło — daliśmy innym pierwszy przykład. Wstydliwość ta zresztą opuszcza p. Koźmiana zaraz na następnej stronnicy, bo pisze wyraźnie: „czuliśmy, że za późno *kładziemy* koniec powstaniu“.

Otóż co do tego możemy stanowczo zaprzeczyć p. Koźmianowi. Czyby p. Koźmian i jego przyjaciele polityczni popierali, czy nie popierali powstania, czyby nawet Napoleon rozmawiał, czy nie rozmawiał z ks. Czartoryskim, rzecz była przesądzona. Tysiące padły na placu boju, tysiące poszły w Sybir lub zapełniały więzienia. Nie było już ludzi do walki, nie było broni, nie było zasobów pieniężnych, Królestwo przedstawiało jednę ruinę. Cały ogół myślał o pokoju, o odetchnięciu po ciężkich przejściach. Brakło już łez nawet do opłakiwania strat nowych. Litwa była złamana, zniszczona przez Murawiewa. Rawicz donosił, że stan jest „nie do opisania“. Drobne oddziały kryły się już tylko po lasach i zbliżały się ku granicom, aby ujść z życiem. Nastąpił strach paniczny, dający się łatwo usprawiedliwić. Raporty dochodzące do Rządu Narodowego kreśliły upadek ducha, ogólną apatję, ogólną chęć zakończenia powstania.

Sami komisarze wątpili o sprawie. „Trzeba raz koniec położyć nieszczęściu“ pisali otwarcie. Urzędnicy organizacyjni odsyłali rozkazy nierozpieczętowane, lub je palili. Nawet lud dotychczas przychylny lub obojętny, zaczął się burzyć, widząc dokoła zniszczenie. Odgrywały się nawet oburzające sceny. Poborców podatkowych łożono, chciano wydawać. Jakiś Kacowski, obywatel z lubelskiego wydał moskalom oficera i ośmiu żołnierzy powstańców i pił z moskiewskimi oficerami noc całą. W Płońsku obywatele okoliczni również kumali się z moskalami przy kieliszku. Szlachta w Krasnostawskiem zgoliła wąsy na żądanie naczelnika powiatu. W lubelskiem trzy czwarte obywateli zażądało czynszu od włościan. Już w styczniu z płockiego i Podlasia donoszono, że koniec wszystkiemu. Jawne były dowody zdrady licznych indywiduów. W płockiem szlachta chwytała powstańców. Z sandomirskiego składano raport, iż bez natychmiastowej interwencyi mocarstw nie ma co dalej przewlekać strasznego położenia...

Stan oblężenia w Galicyi (ogłoszony 29 lutego, a rozmowa Napoleona z Czartoryskim odbyła się 18 kwietnia) według raportów pułkownika Strusia sparaliżował wszystko. W żadnym obwodzie, mówi dalej raport, nie ma obwodowego ani komisarza wojennego. Członkowie organizacyi i wojskowi wyjechali za granicę, gdyż władze austryackie do tego stopnia zapomniały o swojej godności, że wydały moskalom w Tomaszewie lubelskiem dwudziestu siedmiu powstańców, schwytanych przy przejściu do Galicyi.*)

Taki był stan powstania i umysłów już w styczniu, lutym i marcu 1863 roku. Żadne uchwały żadnych g r o n k r a k o w s k i c h czy komitetów nie mogłyby ocalić dogorywającego powstania, ani też wpłynąć czemkolwiekbądź na przyspieszenie jego upadku. Nie potrzeba było usunąć się od popierania powstania, bo ono samo z widowni się usuwało. Łatwo to powziąć decyzyą wstrzymania się w biegu, kiedy na drodze stoi nieprzebyta zapora.

K. Bartoszewicz.

---

*) Czytaj Z. L. S: Ostatnie chwile powstania styczniowego. Poznań 1878.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

20 listopada.

(Obawa przed monopolem spirytusowym. — Ks. Stojałowski i Związek chłopski. — Jubileusz Asnyka. — Ks. Puzyna biskupem krakowskim.)

Daje sobie p. Plener radę z niemieckimi klerykałami i konserwatystami, nie wiele zachodu go kosztuje uzyskanie powolności ze strony Koła polskiego, przepływa jednem słowem odważnie fale morskie, uciszając wszelkie bałwany kołyszące jego statek koło cieśniny kodeksu karnego i przylądka reformy wyborczej, a nie wie, że go może czeka katastrofa na słodkich wodach spirytusu. Jeżeli spokojni Bawarczycy zdolni są do podniesienia sztandaru rewolucyi przy podskoczeniu o fenig ceny kufla piwa, to może ludy austryackie, dość apatyczne zapatrujące się na reformy wszelkich ustaw, poczują w sobie energię i gotowość do walki wobec monopolu spirytusowego. Nawet w Galicyi, tak przyzwyczajonej do nierobienia trudności rządowi, pozawięzywały się już różne komitety w celu obrony interesów konsumentów i producentów spirytusu. Świeżo rada miejska lwowska wzięła inicyatywę w zwołaniu wieca reprezentantów miast zagrożonych monopolem. W Krakowie była stosunkowo w sprawie tej cisza największa. P. Friedlein zajęty wysyłaniem telegramów do osób wstępujących w związki małżeńskie, nie miał czasu zająć się sprawą spirutusową. Za to Izba handlowo-przemysłowa poświęciła jej lwią część swego ostatniego posiedzenia. Osobny referent przedstawiał rozwój stósunków spirytusowych. Wykazywał, iż w skutek poboru opłat krajowych i istniejącego do roku 1910 prawa propinacyi, nastąpiło ogromne podrożenie ceny napojów spirytusowych. Konsument opłaca nietylko wartość spirytusu, ale i podatek państwowy, dodatki krajowe, a w Galicyi spada jeszcze na niego cały ciężar czynszu dzierżawnego za prawo propinacyi, wynoszącego przeszło 4 i pół miliona złr, Hektolitr spirytusu droższym jest w Galicyi o 40 złr. niż w innych krajach koronnych, ztąd też kwestya monopolowa zagraża handlowi spirytusem, dzierżawcom i konsumentom, którzy i tak drożej płacąc za spirytus, nie mogą być obarczeni nową opłatą monopolową. Oprócz referenta zabierali głos inni członkowie Izby, wyjaśniając szkodliwość już istniejącego systemu i dowodząc, iż wskutek niego obcy spirytus coraz więrej wchodzi w używanie. Uchwalono więc rozpocząć bezzwłoczną akcyę dla ochrony interesów Galicyi wobec projektu pana ministra skarbu, a mianowicie postanowiono wspólnie z Izbami handlowo-przemysłowemi we Lwowie i Brodach wygotować memoryał dla wręczenia go ministrowi skarbu, ministrowi dla Galicyi i namiestnikowi i porozumieć się w tej sprawie z Kołem polskiem, oraz innemi stanowczemi w tej mierze czynnikami.

Na 20 b. m. zapowiedziany był wiec włościański, zwołany przez ks. Stojałowskiego. Szło zapewne znanemu agitatorowi o powetowanie klęski, jakiej doznał na walnem zgromadzeniu „Związku chłopskiego.“ Wiec jednak został przez policyą zakazany (biedni włościanie na darmo z dalszych okolic przybyli), a ks. Stoja-

---

— To zechciej mi pani po francuzku podać szczegóły swej biografii — odezwałem się, dobywając nowy arkusz papieru.

— Tyle pan biografią moją nie zapisze — zaśmiała się panna Wanda. — Skończyłam szkoły, zdałam egzaminy i mam wszystkie świadectwa; to rozdział pierwszy. Rozdział drugi: zaczęłam się doskonalić w grze na fortepianie i uzyskałam medal w konserwatoryum, poczem uczyłam się śpiewu i szło mi to nieźle, gdy — i to już rozdział ostatni — prof. Guillaumet zapytał mię raz przypadkowo, czemu nie sposobię się do teatru? Czemu? Niczegom innego nie pragnęła, ale jak tu się do tego zabrać, by mieć widoki dojścia przecież do czegoś. Znasz pan tutejsze stosunki? Aktorka w Paryżu albo zdobywa sobie wybitne stanowisko, a tych niewiele, albo biedę... i tych legion. Peczciwi rodzice pracują, łożą na wykształcenie — trzeba dojść do czegoś. Prof. Guillaumet zachęcił mię, dodał nadziei, sam podjął się przygotować mię do konserwatoryum i faktycznie, po dwumiesięcznej nauce, zostałam przyjętą. Dostałam się pod kierownictwo prof. Wormsa, nauka trwała lat dwa; po pierwszym roku otrzymałam pierwszy „*accessit*“, a teraz ukończyłam drugi.

— Czy występowała już pani publicznie?

— Oprócz konkursów, tylko raz jeden w „Comedie parisienne“, w sztuce p. Thalasso p. t. „L'art“.

— A czy spodziewała się pani pierwszej nagrody?

— To trudno panu powiedzieć. Byłam z siebie zadowoloną, czułam, że grałam tak, jak grać chciałam, że grałam dobrze, o ile grać dobrze potrafię. A czy to zasługuje na nagrodę pierwszą, drugą, lub może żadną? W godzinę dopiero ogłoszono wyrok; godzinę, całą wieczną godzinę czekałyśmy wszystkie, jak w gorączce. Czym się spodziewała? Przez godzinę tę najświetniejsze nadzieje i najczarniejsze zwątpienia przesuwały mi się przez głowę kolejno. Aż wywołano mię na scenę, wszedł wreszcie przewodniczący, p. Ambr. Thomas, i oświadczył, że dano mi pierwszą nagrodę; *à l'unanimité, à l'unanimité*! powtórzył dwukrotnie.

— Ma pani jakie plany na przyszłość?

— Wszystko spadło na mnie równocześnie. Zaraz po konkursie zaangażowano mię do „Odeonu“ od września.

— Do „Odeonu“? piękny początek, to pierwsza scena francuzka po „Théâtre français“.

— ...A p. Claretie oświadczył mi, że po rocznym pobycie w „Odeonie“, weźmie mię do „Théâtre français“.

— Brawo! Ale takie powodzenie rozbudzić musiało wszystkie niechęci i zazdrości; nie uczułaś już pani ich śladów?

— Czy nie uczułam? zaraz nazajutrz w dziennikach, obok głosów przychylnych, pojawiły się niektóre dziwnie zjadliwe.

— Zarzucano pani piękność, takie zarzuty znieść można łatwo, ale poważna krytyka wielką pani okazała życzliwość.

— Niezupełnie. To prawda, że p. Sarcey nader pochlebnie w „Temps“ ocenił mój talent, ale p. Bauer! až gniewać się na niego nie mogę, tak obszedł się ze mną niemiłosiernie. Obraziłby się chyba musieli sędziowie, że pierwszą nagrodę dali istocie tak niezdarnej, nie umiejącej się nawet poruszać na scenie. A ani wiem, o co pan Bauer żal do mnie czuć może.

— A nie przeraża panią ta myśl, że napotykać pani co chwilę będzie na niechęć taką, na „żal, nie wiem za co“, nieprzychylność tem większą, im więcej pracować pani będzie, by zdobyć sobie powodzenie. Z przycinkami złośliwemi do wdzięków i urody ostrzela się pani szybko, ale będą i inne, wobec których czuć się pani będzie bezbronną, samą wobec ligi niechętnych, czyhających na sposobność, by pani zaszkodzić.

— Myślałam o tem nieraz i kłamałabym, mówiąc, że myślałam bez trwogi. Przecież na przyszłość nie zapatruję się czarno. Ufam, że jakoś to pójdzie: co złośliwi zepsują, to praca naprawi. Przytem, czy mam się panu przyznać, co dodaje mi otuchy? Tum urodzona, w kraju nie byłam nigdy, nie znam tam nikogo i nikt mnie tam nie zna; przecież i pan przyszed

łowskiego aresztowano. Jaki był powód jego aresztowania, pozostaje dotychczas tajemnicą.

Pochwały oddawane „Związkowi chłopskiemu“ przez galicyjskie pisma konserwatywne za zerwanie z ks. Stojałowskim i za umiarkowane stanowisko wobec reformy wyborczej, nie wpłynęły tak na zarząd Związku, jak się tego spodziewano. Związek widocznie wyrzeka się wszelkiej opieki i chce postępować według swej własnej woli. Przy wyborach do sejmu w tarnobrzeskim Związek oświadczył się przeciw kandydaturze hr. Zdzisława Tarnowskiego, a popierał włościanina Jana Robaka. Zwycięztwa wprawdzie nie odniósł, ale zmusił stronników hr. Tarnowskiego do bardzo silnej agitacyi, tak że nawet z Krakowa wysłano agitatorów. I w przyszłych wyborach do sejmu trzeba się będzie liczyć ze Związkiem, który na ostatnim swym wiecu postanowił utworzyć dla wyborców włościańskich osobny komitet centralny, który ma stawiać i popierać własnych kandydatów, bez względu na komitet wybrany przez Koło sejmowe, Zwrócono również uwagę na to, iż organ Związku zaczyna przykładać rękę do walki klasowej, lubo na walnem zgromadzeniu Związku wyraźnie oświadczono się przeciw temu kierunkowi. W numerze 117 tego pisma znajduje się artykuł dowodzący, iż szlachta „stara się nietylko o własne kastowe, lecz częstokroć i o osobiste korzyści“ w kraju i sejmie, usuwa się od obowiązków, „wyzyskuje swoje stanowisko i stosunki rodzinne“, a ofiarność jej „ogranicza się na przekupstwo wyborcze“.

Dzięki *Przeglądowi poznańskiemu* dowiedziano się w Krakowie, iż mija 30 lat od ukazania się w druku pierwszych utworów Asnyka. *Nowa Reforma* zanotowała skwapliwie 30letni jubileusz poety i umieściła artykuł o jego działalności pióra Piotra Chmielowskiego, wyjęty z Encyklopedyi Sikorskiego*). Wybór nie koniecznie był szczęśliwy, gdyż artykuł dla encyklopedyi z natury rzeczy musi być suchy i ogólnikowy; co więcej, jako pisany pod obuchem cenzury, nie mógł dać pełnego obrazu działalności Asnyka tak literackiej jak i obywatelskiej*). W każdym razie wystąpienie *Reformy* zwróciło uwagę ogółu na obowiązek złożenia hołdu jubileuszowego znakomitemu poecie. Koło literacko-artystyczne (*lucus a non lucendo*) przypomniało sobie nazwę jaką nosi, lubo nic prawie nie ma z nią wspólnego — i zwołało *ad hoc* posiedzenie wydziału, na którem uchwalono wziąć inicyatywę w urządzeniu jubileuszu. W tych dniach mają być rozesłane zaproszenia do przedstawicieli rozmaitych instytutucyj i do wybitniejszych literatów, ażeby zebrali się w celu wyboru komitetu jubileuszowego i obmyślenia stosownego programu. Sądzę, że komitet weźmie się do rzeczy poważnie, nie skończy na urządzeniu tylko jakiejś kolacyjki, jaką czczą po 25 latach każdego nieco wyższego urzędnika pocztowego lub Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń. Jubileusz dla człowieka tego stanowiska w literaturze co Asnyk powinien przybrać szerokie rozmiary, powinien być godny nietylko poety, ale i społeczeństwa, które go z pośród siebie wydało. Wobec tryumfów, wobec kadzideł palonych dla karyerowiczów i jednodniowych znakomitości, nie można po gospodarsku, kolacyjką i d klamacyjką, nieść hołd jednemu z najwybitniejszych przedstawicieli pracy duchowej. Wprawdzie smutne nasze położenie polityczne nie pozwala nam sprawiać wspaniałych godów ludziom tego znaczenia co Asnyk; nie możemy więc marzyć, abyśmy komukolwiek bądź przygotowali uroczystości Jokajowskie. Ale powinniśmy i możemy zdobyć się na coś takiego, coby się wzniosło nad pospolitość, coby pozwoliło całej inteligencyi krajowej dać wyraz swej czci dla poety, coby pozostało pamiątką po dniu przeznaczonym na święto kapłana poezyi. Lepiej bowiem całkiem nie urządzać jubileuszu, aniżeli dać mu formę zdawkową, równającą mistrzów słowa, strzegących znicza narodowego, z ludźmi mającymi szczęście i powodzenie na polu karyery urzędniczej, przemysłowej, lub partyjno-politycznej.

Ks. Puzyna został już mianowany biskupem krakowskim. Pierwszy wam donosiłem, że nominacya ta jest tylko kwestyą czasu. Dzienniki nasze zupełnie o tej sprawie z początku milczały, a dopiero w ostatnich czasach donosiły, iż ks. Puzyna biskupem nie zostanie. Powinszować im należy dobrych informacyi.

K. Bartoszewicz.

*) Artykuł ten powtórzył „Dziennik Pozn.“, a nie znając pierwotnego źródła, zacytował „Nową Ref.“

*) Z zadania tego wywiązał się Piotr Chmielowski w pięknej rozprawie zamieszczonej w „Przeglądzie Pozn.“ („Fazy twórczości Asnyka“) Przyp. Red.

---

dowiadywać się o mnie i pan nie byłeś nawet pierwszym...

— A, już mię ktoś uprzedził?

— Była już u mnie pani K. po szczegóły do polskich dzienników. Nie masz pan wyobrażenia, jak mnie to cieszy! Mam wrażenie, że interesują się tam odrobinę początkującą, że znajdują się tam ludzie, których nie znam, co życzliwie śledzić będą me postępy, zawsze z radością przyklasnąć gotowi, jeśli na poklask zasłużę. Może to złudzenie, ale złudzenie przyjemne, którego niech mi pan nie rozwiewa, bo dodaje mi energii i siły; nie czuję się samotną.

— Mam nadzieję, że da nam pani niejednokrotnie sposobność do oklasków — rzekłem na pożegnanie, dziękując i matce i córce za uprzejmą gotowość zaspokojenia mej dziennikarskiej ciekawości.

Wychodząc, spostrzegłem się, żem nie zwrócił nawet uwagi na urządzenie mieszkania i wszystkie te drobne w niem szczegóły, które dają nam poznać gusta i upodobania ich właścicieli; pamiętam tylko, że mieszkanie urządzone skromnie, bez zbytku, ale dostatnio i gustownie. Nie moja to zresztą wina: notując rozmowę na miejscu, zbyt byłem zapatrzony — w papier.

Kraj.

NA WYŁOMIE.

(Mesquin! Referaty dziennikarskie. Paragraf jedenasty. Modlitwa).

Znam pewien wyraz francuzki, który znakomicie określa taktykę naszych wielkich organów wobec politycznych przeciwników, a którego na język polski dokładnie i wyczerpująco przetłomaczyć nie umiem: *Mesquin!*

Jest w tym wyrazie w znaczeniu przenośnem pojęcie nizkiej małostkowości, moralnej anemii, małomiejskiej ciasnoty, złośliwej zazdrości, natury garbuskowej, wykrzywionej i kąsającej z ukrycia. *Mesquins!* Tem słowem witam was szlachetni kusztosze opinii publicznej, choć wiem, że ci „których imię jest legion“ błogosławiliby „przyzwoitości“ mojej, gdybym pozdrowił was uwielbienia głosem: Patres patriae!

W kilkudziesięciu feljetonach, których dostarczyłem dla „Przeglądu Pozn.“ zamieszczałem nieraz ilustracye prasy poznańskiej, — dziś nową kartkę załączam do albumu obrazkowego, gdzie artyzmu może nie znajdziecie, ale prawdy lwią część niezawodnie. Nie wiem, czy porównywaliście kiedykolwiek przebieg naszych kongresów, zjazdów, posiedzeń, zebrań i t. d. z referatami dzienników. Jakaż tam obfitość szczegółów, ileż nazwisk Ciceronów i Demosthenesów, — zdawać by się mogło istotnie, że sprawozdania czasopism naszych to najwierniejsze odbicia dyskusyi, to fotografie objektywne bez retuszu i kolorytu. A przecież stosunek referatów do faktu jest mniej więcej taki jak owych słynnych arcydzieł literackich, przykrojonych dla użytku francuzkich delfinów, a pierwowzorów rzeczywistych. „*Ad usum delphini*“ obcinano słynne epopeje, dramaty i romanse, „*ad usum delphini*“ wyszarpywano jelita śmielszym poglądom naukowym lub społecznym — „*ad usum delphini*“ przylepiano nieraz na utworach mistrzów idjotyczne komentarze, aby umysł królewicza tak uformować, jak tego interes tronu i królującej opinii wymagał. I oto z pierwowzorów zostawały nieraz marne szczątki lub tendencyjne karykatury.

Podobne wrażenie wywierają na mnie często referaty prasy poznańskiej, a mianowicie wielkich organów. Cóż chcecie? „Ad usum delphini“! — to ich drogoskaz, dewiza i dogmat. Interes pisma wymaga, aby czytelnicy nie dowiedzieli się, że i przekonania innego obozu stoją na gruncie poważnej argumentacyi; interes pisma dyktuje milczenie tam, gdzie w dyskusyach natury politycznej lub społecznej zabłysnął, czy to wnioskiem rozumnym, czy zwycięzką polemiką, czy rutyną parlamentarną żołnierz przeciwnego znaku. Natomiast miry i kadzidła szczędzić nie będę te same organy, gdy zwolennik ich banalnym ogólnikiem istnienie swoje zaświadczy, lub w braku argumentów kichnie na znak zgody. Podnosi się n. p. pan Y., stronnik „Dziennika Poznańskiego“, i z miną uroczystą głosu się domaga. „Pan Y ma głos!“ Wstaje tedy i wyciąga rękę: „Panowie! Chciałem tylko tyle powiedzieć, że godzę się zupełnie na zdanie preopinanta mojego“. Nic więcej! Usiadł i na laurach spoczywa. A na drugi dzień biorę „Dziennik“ do ręki i czytam: „W dyskusyi zabrał głos pan Y i w dłuższem a świetnie uzasadnionem przemówieniu bronił wniosku preopinanta swego“. — Zdarzyło się jednak przed niedawnym czasem na pewnym z kongresów poznańskich, że zdeklarowany przeciwnik Dziennikowego kierunku odegrał w dyskusyi pierwszorzędną rolę. Rozumne opinje jego tak ciężko zaważyły na szali, że ujarzmiły opozycyą i spowodowały uchwałę nader doniosłą w stosunkach naszych. Na drugi dzień biorę „Dziennik Pozn.“ do ręki. Szukam nazwiska mówcy, — napróżno. Zanotowano uchwałę, lecz zapmniano(!) o jej szermierzu, — zapomniano o niemiłej osobie tego, którego przemówienie stało się zwrotnym momentem dyskusyi. I tak bywa zawsze nieomal. W najlepszym razie cytuje się wywody stronników z drobiazgową ścisłością, a z przemówień opozycyi zostają tylko gołe nazwiska. Mesquins!

Lecz jest jeszcze inny rodzaj dziennikarskiej trucizny, — gazu niszczącego opinją jak cyan cali organizm. Nie zabija się milczeniem przeciwnika, lecz fałszuje się z rafinowaną zręcznością przemówienia i argumentacye jego. A § 11 ustawy prasowej? — odpowiecie może. A prawo sprostowania fałszów referenta? Czyż mamy żałować ofiary zatopionej w pogardliwem milczeniu lub żałosnej lamentacyi? Czyż mamy żałować istoty, która nie korzysta z puklerzów prawa i opieki państwowej w obec dziennikarskich podjadków? „Hadko mówić!“ powiedziałby nieboszczyk Podbipięta, za którego duszę jakaś sentymentalna panienka zakupiła mszę uroczystą. Kodeks przyznaje nam prawo prostowania fałszów, ale tylko wyraźnych i objektywnych, — tylko takich, gdzie zamiast litery A powiedziano F. lub K. Sprytny dziennikarz drwi sobie z tej ustawy, i sfałszuje przemówienia opozycyi, nie naruszając litery paragrafów karnych. Przypuśćmy n. p., że jakiś zapalony narodowiec gromi w dyskusyi politycznej kandydaturę pana Kościelskiego. Mówi o demoralizującym wpływie ślizgiej dyplomacyi, — o kruchym fundamencie tronowych względów, — o ofiarach materyalnych, które ugodowe „placet“ kładzie na barki nasze, o łatwowierności zaślepieńców lojalnych i t. d., a w końcu dla dekoracyi rzuca barwne słówno: Pak Kościelski — poeta salve! Pan Kościelski — polityk apage! Na drugi dzień czytamy w organach ugodowych następujący referat: "Pan X oświadczył, że podobają mu się poezye pana Kościelskiego, ale polityce jego przyklasnąć nie może. Nad tym frazesem szumnym przeszło zebranie do porządku dziennego“.

A teraz mój wielbicielu opieki prawnej, cóż poczniesz z twoim § 11. „Dziennik“ nie przekręcił słów twoich. Słowa cytowane odpo-

wiadają finałowi przemówienia twego, a skarżyć ...go o to nie możesz, że o esencyonalnej części filipiki twojej ani jednem słowem wspomnieć nie raczył. Zamilczenie to jednak jest piekącą raną. Nie przekręcono słów twoich, a mimo to piętno frazesu jak stygmat kompromitujący zdobi czoło twoje. Na obronę przekonań politycznych nic nie znalazłeś krom stylowego stroiku, — bańki mydlanej olśniewającej tłumy, lecz budzącej uśmiech politowania w kołach myślącej publiczności. Polityka narodowa, kryjąca w arsenale swoim tylko fajewerrki, wygląda jak Kopciuszek w obec ugodowej dyplomacyi, zbrojnej w bateryę sofizmatu, o pozorach głębokiej myśli i rozwagi. Jakiś ty marny, jakiś ty bezsilny! Radzę ci szczerze: Idź! zagnij kolana przed kustoszem opinji publicznej i przysięgnij uroczyście, że odtąd innych Bogów znać nie będziesz przed nim.

Chcę jednak wierzyć, że uda ci się z leksem w ręku i adwokatem u boku wytargować od sprytnego dziennikarza sprostowanie. Uśmiechasz się.. tryumfujesz... za wcześnie, kwiatku, za wcześnie! Do korekty twojej przyszpili pan redaktor maleńki komentarz, ostry jak sztylet, syczący jak żmija. I cóż? Ta kropka dziennikarska wykrzywi złośliwym grymasem lista czytelników, a ściskając wieczorem rękę znajomych poczujesz takie.... coś... jakże tu powiedzieć?... coś mówiące temperaturą uścisku, niespokojnem spojrzeniem i akcentem głosu, że ty biedaku zasługujesz na litość i błyskawiczne: Bądź zdrów przyjacielu!

Na pocieszenie powiem ci w końcu, że ziomków naszych pamięcią macedońskiego Aleksandra nie obdarzył Pan Bóg. Zapomnieli najmilsi, że p. Wittenburg jest prezesem komisyi kolonizacyjnej, — zapomną niezawodnie o tem, że w kampanii z prasą poznańską znazłeś Sedan i Waterloo swoje, — smętny Napoleonie!

Unikaj jednak w przyszłości dla spokoju żony, rodziców i potomstwa twego, a przedewszystkiem dla własnej wygody politycznych zebrań, — abonuj *wszystkie* pisma poznańskie, — redaktorom kłaniaj się z atencyą i zamknij szczelnie § 11 na strychu lub w piwnicy. Wieczorem zaś, gdy dzwony na Anioł Pański udezą, klęknij pokornie i taką modlitwę śpiewaj niebu wysokiemu.

„Boże cierpiących i uciśnionych! Odejm od nas ten kielich goryczy, który się zwie prasą poznańską, i spraw, aby prorocy co lud Twój w jaśniejszą przyszłość poprowadzić mają, nie byli jako faryzeusze żydowscy i czynem niskiej zawiści nie kłamali słowom miłości. Jeżeli zaś gniew Twój. Panie, ich nie wzruszy, weź bicz Chrystusowy i z ziemi polskiej wygnaj ...ych pisma uczonych, którzy oddechem jadowitym trują opinję i w krzywdzie bliźnich szukają zysku własnego. Amen.“

Coś mi z pogańska brzmi ta modlitewka. ...le spróbujcie, — może poskutkuje.

Sulla.

Z estrady i sceny.

Koncert pp. Finkenstein i Friedenthal.

Z dawniejszych występów publiczności naszej dobrze znane artystki: pianistka p. Friedenthal i śpiewaczka p. Finkenstein dawały we wtorek dnia 20 bm. koncert na sali Lamberta. Bogaty nadzwyczaj urozmaicony program rozpoczął ...ę wspaniałą, Lisztowi poświęconą Fantazyą Schumanna op. 17, którą w ubiegłym sezonie koncertowym d'Albert u nas wykonał. To pewne, że wykonanie i wysłuchanie tego utworu wymaga tak ze strony wykonawcy jak i słuchacza nielada wysiłku i skupienia uwagi. Nie naprózno, zdaje się, umieścił autor na swem dziele motto:

„Durch alle Töne tönet
Im bunten Erdentraum
Ein leiser Ton gezogen
Für den, der heimlich lanschet.

Wszystkie trzy części Fantazyi zaliczyć trzeba do najwięcej interesujących utworów Schumanna. W pierwszzj części przeważa nastrój fantastyczny, wywołujący w naszej wyobraźni, podobnie jak stare baśnie, dziwne wspomnienia; druga część odznacza się wielką stanowczością i energią motywów, a w trzeciej części przeważa znów marzycielstwo.

Jasne uchwycenie i oddanie myśli poetycznej i przewodniej utworu wymaga muzyka-poety; aby pokonać zaś wielkie trudności techniczne i rozwiązać prawdziwie rytmiczne łamigłówki trzeba być wirtuozem, posiadającym na każde skinienie cały olbrzymi aparat techniczny. To też dla wymienionych powodów rzadko Fantazya bywa umieszczana w programach koncertowych i tylko najwięksi z wielkich jak z dawniejszych: Liszt, Rubinstein, Klara Schumann, żona autora, z nowszych zaś pianistów: d'Albert, Śliwiński i podobni odważają się na ten utwór. Nie małą więc zasługą pani F., że piękną i wartościową kompozycyę umieściła w programie, a zarazem najlepszą oceną dzielnej reprodukcyi, że grą swoją zdołała uwagę słuchaczy uwięzić aż do końca. Jeżeli już Fantazya Schumanna zainteresowała żywo słuchaczy, to tym więcej przypaść musiały do gustu dalsze produkcye pianistki, które obejmowały utwory krótsze, mniej skomplikowane, a zatem dla przeciętnego słuchacza mniej nużące. Z Chopina utworów dała nam artystka piękny, nadzwyczaj śpiewnie odegrany nokturn h-dur, dalej trudną Etudę As-dur, sprawiającą wrażenie prawdziwie organowego efektu, za tem szedł z elegancyą i ogniem wykonany mazurek Fis-moll, dalej jędrna Sonata Scarlattego, w której znów podziwiać trzeba było niezrównaną wprawę w błyskawicznem przekładaniu rąk, dalej efektowną Etudę Henselta „Si j'étais oiseau“ i nareszcie na ogólne żądanie odegrała artystka uroczo po dwa razy ładną serenadę Morzkowskiego. Pieśnią Schuberta „Du bist die Ruh“ w opracowaniu Liszta i drugą Rapsodyą Liszta zakończyła p. F. swe produkcye. Ostatni zwłaszcza utwór wykazał przedewszystkiem całą błyskotliwą świetność i wszystkie zalety techniczne gry, mianowicie: zdumiewającą lekkość i siłę palców, jędrność uderzania w forte obok powiewnego pianissimo, piękny tryl i wogóle wszelkie odcienia w dotknięciu; piękne zaś melodye Rapsodyi wykonane nadto z temperamentem i werwą porwać musiały wszystkich słuchaczy i wywołały burzę oklasków.

P. Finkenstein odśpiewała bogatą wiązankę pieśni różnych kompozytorów rozpoczynając doborowy program Beethovena wzniosłą pieśnią: „In questa tomba oscura“, za którą szedł trochę sentymentalnie pojęty „Wędrowiec“ i z gracyą odśpiewana „Forella“ Schuberta, dalej Schumanna „Piękna obca“ i znana z przeszłego koncertu artystki „Pieśń ludowa“ tegoż kompozytora; za tem odśpiewała p. F. rozwlekłe „Marzenie“ Wagnera i efektowną pieśń Rubinsteina „Błyszczy róża“, dalej pełną szczerej prostoty miluchną „kołysankę“ Mozarta i dwie humorystyczne piosnki Webera. Na zakończenie zaś w polskim języku Chopina „Dwojaki koniec“ i „Hulankę“, znaną również z przeszłego występu śpiewaczki; w języku zaś francuzkim: Godard'a „Dites-moi“ i Bolero Massego. Głos p. F. — alt wkraczający w granice mezzosopra[illegible] o brzmieniu szerokiem i szlachetnem, starannie wyrównany, nadaje się mojem zdaniem więcej do e[illegible]legijnych utworów niż do namiętnych. W każ[illegible]dej nucie czuć ciepło i serdeczność i uderza ta[illegible] jakaś głębsza zaduma, tak sympatyzująca z p[illegible]stacią i wyrazem twarzy artystki. To też utwory [illegible] z szerokim zakrojem melodyjnym, jak n. p. B[illegible]eethovena świetniej wypadły, niż pieśni, w któr[illegible]ych krótki frazes przeważa. Najmniej zaś przem[illegible]awiają, zdaje się do usposobienia artystki utwory, w których humor i dowcip, jak w pieśniach Webera odgrywa najważniejszą rolę. Głos p. F. snać nie posiada potrzebnej lekkości do kompozycyi lżejszego rodzaju; kadencya w Massego Bolero, czy to wskutek chwilowej niedyspozycyi, czy dla innych powodów nie odznaczała się też tem wyrównaniem głosu ani precyzyą i czystością intonacyi, jaka w każdej innej produkcyi bogatego programu uderzała. Mimo to oklaskiwała publiczność i te utwory często może tylko dla żartobliwych słów, jak w pieśniach Webera, i trafnie zastosowanej mimiki, zdradzającej długoletnią pracę artystki w operze.

Nadto podnieść muszę staranną i wyraźną wymowę, — zaletę, którą artystka w daleko wyższym stopniu posiada, aniżeli przed tygodniem występujący barytonista Bulss, o czem w przeszłym numerze „Przeglądu“ pisałem.

Bardzo udatnym i charakterystycznym muszę nazwać akompaniament na fortepianie do śpiewu, wykonany przez męża artystki.

Edwin Jahnke.

Leszczyński w roli „Otella“.

Trudno sprawiedliwie i wszechstronnie ocenić artystę, który po raz pierwszy na obcej występuje scenie. Oko nie przyzwyczajone do rozmiarów sceny, ucho do szeptów nieznanego suflera. Z otoczeniem cudzem nie zżył się gość teatralny, każdy mebel dla niego jest obcym, a przed nim nowa publiczność. W takich warunkach zjawić się mogą nawet u artystów najwytrawniejszych i prawdziwych z Bożej łaski aktorów momenty chwiejności, — w takich warunkach widz nieraz odnosi wrażenie, że artysta wszystkich iskier talentu nie wykrzesał z piersi, że jakiś ostatni ton uwiązł mu w gardle, że mistrz dał nam siebie samego tylko w połowie. Temu uczuciu chwilowego ambarasu i przelotnej połowiczności nie mogłem się oprzeć na czwartkowym „Otellu“. W scenie z dożą weneckim ucho moje szukało naprózno kilku niezbędnych akcentów, a w scenie powitania na Cyprze krew i temperament nie grały taką muzyką płomienną, jak w ubiegłym roku, gdy Rygier — i dawniej jeszcze, gdy Rossi śpiewali na poznańskich scenach wielką tragedyę zazdrości. Lecz oto podnosi się po raz czwarty kurtyna i trucizna Jagona toczyć zaczyna organizm Otella. W tej samej chwili ten zrazu nieco anemiczny Leszczyński rośnie i potężnieje przed nami. Już pierwsza scena z Jagonem, gdy murzyn, z piórem w ręku, słucha szatańskich podszeptów, odsłoniła nam pierwszej wody artystę. Źródło piekielnej namiętności wzbiera stopniowo i mrok jak w letnie wieczory kładzie się zwolna na scenę, — na umysł i serce Otella. A potem rozpoczyna się konwulsyа zazdrości. Tu uwydatniają się coraz widoczniej wpływy *Maggiego*, ale przetopione w ogniu własnego temperamentu, przywłaszczone nie tylko giestom i dźwiękom, lecz krwi i artystycznym instynktom. Jak *Maggi i Rygier* tak i pan Leszczyński w Otellu swoim tworzy zwierzę dzikie, pokryte zaledwie lekką gazą cywilizacyi. Już w pierwszych odsłonach ruchy jego zdradzały tę szerokość właściwą dzikim synom pustyni, — nigdzie aksamitnej miękkości, nigdzie salonowego zaokrąglenia. Cieniutka powłoka kultury pręży się i każdej chwili pęknąć gotowa. Każdy z nas czuje, że pierwsza burza szalejąca w głębinach piersi rozsadzi ją i w kawały poszarpie.

Przebudzenie dzikiego zwierzęcia było istotnie wielkiem objawieniem geniuszu dramatycznego. Jakieś rzężenie nieludzkie, jakiś ryk bestyi zranionej, jakiś straszny szał półczłowieka bólem pijanego zagrały na scenie i mrowiem płynęły w przejętą publiczność. Jeden tylko moment w piekielnej muzyce był fałszywym akordem, — to chwila zawrotu i omdlenia. Nie wiem czy sufler, czy też bezbarwna gra p. Jakubowskiego zirytowały i z tropu zbiły artystę, — dość, że nie było w tej scenie patologicznego realizmu włoskiej szkoły dramatycznej. Był to raczej objaw fizycznego oznu-

żenia, niż potężnych wstrząśnień psychicznych, które krew z mózgu wysysają i z nóg walą kolosy. W następnych scenach z Desdemoną jednak znów w całej pełni zajaśniał talent Leszczyńskiego. Jak go to ciało białe nęciło, jak dreszcz lubieżny prądem magnetycznym łączył go na chwilę z piękną Wenecyanką, jak palcami dotykał się jej włosów, szyi i piersi — a potem nagle ryk stłumiony i wściekłość samca, któremu samicę wydarto. Scena, w której zwierz — piastujący w duszy myśl mordu, — łączy głowy Emilii i Desdemony, a następnie w pałąk zgięty, z cynicznym grymasem i jakąś rozkoszną krwiożerczością cofa się za kulisy zdawała mi się pod względem mimiki skończonem arcydziełem. Sam nie wiem jak określić uczucia grające tu w wykrzywionej twarzy Otella. Była to dziwna mięszanina tryumfu małpy złośliwej i pożerającej wszystko boleści, coś w tem połączeniu strasznie dzikiego i brutalnego.

W końcowej odsłonie posługuje się Leszczyński kilku sztuczkami, wprowadzonemi przez Maggiego na sceny europejskie. Nie chciałbym pozbawiać artysty tych efekcików, z których niektóre są istotnie piękne i potęgują grozę sytuacyi, ale wypadałoby je tylko tam wprowadzać na deski, gdzie reżyserya jest staranniejszą niż u nas. Ten flet za kulisami był okropny, a światło księżyca opromieniające przy oknie twarz Otella raziło bengalską jaskrawością. Zresztą należałoby się postarać o lepsze kaganki lub knoty, bo gdy artysta mówi „Zagaszę światło“, a światło już dawno zagasło, to przypadek taki wprowadza artystę w ambaras, a widzów pozbawia złudzenia. Wszystko to irytowało widocznie p. Leszczyńskiego, a gdy w końcu panowie maszyniści zapomnieli zupełnie o przytłumieniu świateł, aby scenę w mroku pogrążyć, zniecierpliwiony artysta dość wyraźnie szepnął za kulisy: „Przyćmijcie lampy.“ Mimo tak niefortunnych warunków finałowe sceny wywarły potężne wrażenie na publiczności, a mianowicie śmierć — przeprowadzona znowu według recepty *Maggiego* — była arcydziełem realizmu.

Jak ten Otello gardło sobie podrzynał, jak go krew zalewała, jak rzęrzał w śmiertelnych kurczach i pełzał po schodach! — o takie konanie pokusić się może tylko pierwszorzędny talent. Zdawało mi się, że jeleń ranny wspina się po skałach, racice w mech ślizgi zatapia i w znak się wali bezwładny. Snać artyści współgrający dzielić musieli w tej chwili mój zachwyt, bo zapomnieli o mimice i wpatrywali się tylko w niemym podziwie w grę mistrza — kolegi.

Dr. Władysław Rabski.

KRONIKA LITERACKA.

Zofia Kowerska: Irena, powieść. Warszawa 1894.

Do zamożnego szlacheckiego dworu na polecenie jakiejś krewnej przywieziono chorego chłopca, aby na wsi przyszedł do zdrowia. Irena, panna domu o jakiejś bajecznej piękności, w wieku wcale już poważnym, która w przesycie i kaprysach swoich odrzuciła tyle stosownych oświadczyn, nie ma nic pilniejszego do roboty jak zakochać się w chorem, nieśmiałem chłopięciu, prześladować to chłopię później już po wyjeździe jego i trzeba aż śmiertelnej choroby młodszej siostry, aby Irena w rozpaczliwej modlitwie do Boga, zrzekła się swej miłości i swych dziwnych nadziei w zamian za życie siostry. Siostrę uratowano — a Irena? Ja nie wiem; kiedy mogła się tak karykturalnie zakochać, to mogły ją jeszcze różne niespodzianki spotkać w życiu. Ta panna przejrzała płonąca namiętnością dla biednego chłopaka, jest pomysłem nieszczęśliwym, którego niesmaku przeprowadzenie nietylko że nie złagodziło, ale zaostrzyło i psychologicznie wcale nie uprawdopodobniło.

Sposób pisania pani Kowerskiej jest przestarzały i bezkrwisty, — gdzieniegdzie tylko świeci iskierka talentu. Bo... bd...

* * *

Pan **Ignacy Dąbrowski** rozpoczął w „Tygodniku Ilustrowanym“ druk najnowszej swej nowelki p. t. „Jedna łza“, którą przyozdobił ilustracyami F. Lindeman; p. Gawalewicz drukuje w dalszym ciągu budzącą zainteresowanie powieść „Cudak“, a wreszcie przegląd teatralny i kronika „Z tygodnia na tydzień“, skreślona przez F., uzupełniają treść literacką tego numeru Tygodnika. Dział ilustracyjny zawiera „Tajemnicę“ niemieckiego malarza Wunscha, portrety założycieli Towarzystwa Ogrodniczego, dwa widoki z Warszawy, portret artystki Wandy Bończa-Rutkowskiej, oraz drobiazg z teki humorystycznej Rapackiego p. t. „Artyści u siebie“.

* * *

Listopadowy zeszyt **Ateneum** zawiera nowelkę p. t. „Oryginał“, skreśloną przez p. Napoleona Roubę; nazwisko to pierwszy raz, jak widzimy, spotykamy w naszej literaturze. Z pomiędzy innych artykułów zwraca na siebie uwagę ładnie napisane studyum G. Hösicka p. t „W Szwajcaryi, okres genewski w życiu J. Słowackiego“. Filozofię w tym zeszycie reprezentuje p. Sygma w pracy p. t. „Filozofia i jej kierunki“, nauki przyrodnicze p. Trepka i Grosglück. Resztę zeszytu wypełniają jak zwykle działy literackie i sprawozdawcze.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. W czwartkowych wyborach do poznańskiej rady miejskiej poniosło klęskę stronnictwo ludowe. Do klęski przyczynił się kompromis stronnictwa konserwatywno-ugodowego z wolnomyślną partyą niemiecką. — Deputacya polska w Petersburgu doznała przychylnego przyjęcia u cara Mikołaja II. Car odpowiedział na przemówienie Wielopolskiego, że wszyscy poddani są w oczach jego równi i starać się będzie o powodzenie mieszkańców Królestwa polskiego. — Na rozkaz cesarza Wilhelma stawiono francuzkiej deputacyi wojskowej, wysłanej na pogrzeb cara do Petersburga, do dyspozycyi osobistej pociąg od Kolonii aż do Aleksandrowa. Uprzejmość ta wywarła w Francyi korzystne wrażenie. — Reskryptem rządu krajowego w Opawie zatwierdzonem zostało stowarzyszenie akademików-Polaków na Śląsku z siedzibą w Cieszynie. Towarzystwo przybrało nazwę „Znicz“.

Wystawy. W Berlinie odbyła się wystawa historyczno-dekoracyjna. — W Krakowie odbyła się 16—18 listopada wystawa ogrodnicza. — Rząd chilijski urządził wystawę mineralogiczną w San Jago.

Teatr i muzyka. Helena Modrzejewska zawita do Poznania w końcu grudnia lub początkach stycznia. — Karol Bleibtreu wystawił w Zurychu dramat historyczny p. t. Der Weltbefreier. — W teatrze lwowskim wystawiono „Wiesława“ Brodzińskiego w scenicznej przeróbce. — Nowy dramat Ibsena. Z Kopenhagi donoszą: Nowy dramat Ibsena nadszedł tu w tych dniach w rękopisie. Jest to trzyaktówka i ma tytuł „Rita Almers.“ Zawiązek dramatu polega na tem, że małżeństwo Almersowie mają jedyne dziecko, małego chłopczyka, którego nadewszystko kochają. Pewnego dnia dziecko pada, kaleczy się ciężko i musi odtąd chodzić na kulach. To nieszczęście potęguje jeszcze miłość ojca dla nieszczęśliwego kaleki, podczas gdy matka Rita odwraca się teraz od dziecka z obrzydzeniem. Stąd powstaje konflikt między małżeństwem. W postaci Rity przedstawił Ibsen po mistrzowsku znowu jedną ze swych ulubionych demonicznych, tajemniczych kobiet. Sztuka opublikowaną będzie równocześnie w Niemczech, Francyi, Anglji i Ameryce; przygotowują się też przekłady włoski i hiszpański. — W Nowym Jorku grano sztukę w 4 aktach, p. t. „Rabin i jego syn“, która niczem nie różni się od „Gniazda rodzinnego“ Sudermana; akcya tylko odbywa się w innej sferze. — Teatr krakowski wystawi wkrótce nowy utwór Daniela Zglińskiego (autora „Jakuba Warki p. t. Nowe prądy. — W ubiegłą sobotę odegrano na scenie poznańskiej starą komedyą Wiktoryna Sardou p t. „Nowa firma“. Sztuka obliczona na szarpanie nerwów i upstrzona rażącemi nieprawdopodobieństwami, wywarła mimo beznagannej gry panny Wróblewskiej i pana Sosnowskiego wrażenie ujemne.

Łamigłówka prawna. Dnia 16 z. m. odbyło się we Lwowie ciągnienie losów wystawowych. Jeszcze, przed ciągnieniem nadesłano do dyrekcyi wystawowej wiele zastrzeżeń o losach zgubionych. Według praw austryackich, każdy znaleziony przedmiot, jeśli jego wartość nie przechodzi guldena, staje się własnością znalazcy. Trzeba trafu, że kilka znaczniejszych wygranych padło właśnie na numery zagubione; komu się należy wygrana? czy temu, kto zrobił zastrzeżenie, czy też znalazcy losu, który kosztował tylko guldena?

Świat, dwutygodnik literacko-artystyczny w numerze z 15 bm. zawiera cały szereg widoków z wystawy lwowskiej, z pośród których pierwsza jest cynkotypią, dwoma barwami zatonowaną, przedstawiającą wodotrysk świetlny. Z dalszych rycin wymienimy studyum głowy p. t. „Anusia“ z teki p. Apolinarego Kotowicza, oraz portret p. Heleny Krzyżanowskiej według fotografii.

Honoraryа artystów. W jednej z gazet francuzkich p. Abbey, znany impresaryo europejski, komunikuje wiadomości nader interesujące, co do honoraryum artystów. Otóż Russel pobiera od impresarya 6500 mr. tygodniowo i ma na tych warunkach kontrakt roczny. Sara Bernhard, podczas podróży, otrzymuje tygodniowo 80,000 mr. z kontraktem sześciotygodniowym, z której to sumy płaci cały skład swej trupy. Każde przedstawienie opery przy udziale br. Reszke i Lassale'a kosztuje p. Abbey przeciętnie 40,000 marek. Ładny grosz!

Po „Hymnie do Aegira“, który w wybornem tłomaczeniu umieszczono w ostatnim numerze „Echa muzycznego, teatralnego i artystycznego“, sięga cesarz Wilhelm II po nowe laury literackie. Pracuje bowiem nad jednoaktową komedyą, na tle zamierzchłych czasów Germanii

Po prawo przekładu nowego utworu Elizy Orzeszkowej, osnutego na tle życia artystów muzyki, zgłosiło się berlińskie czasopismo „Romanwelt.“

Żywcem pochowany. Telegram pierwszy: Cherbuliez umarł.

Telegram drugi: Cherbuliez nie umarł.

Telegram trzeci: Umarła jego żona.

Ale pomiędzy pierwszym a trzecim telegramem dzienniki miały już czas umieścić życiorysy znakomitego powieściopisarza. Naturalnie po śmierci pisze się o każdym bardzo pochlebnie, więc lubo zapewnie Cherbuliez opłakuje śmierć towarzyszki życia, miał do otarcia łez cały szereg własnych nekrologów.

Najwięcej podobałby mu się zapewne krótki nekrolog jednego z pism naszych, w którem go mianowano „najdelikatniejszym“ powieściopisarzem.

Określenie pyszne. Przyszły historyk literatury ma gotowy podział:

Zola i Guy de Maupassant będą „niedelikatni“. Daudet „delikatny“, Loti „delikatniejszy“, a Cherbuliez „najdelikatniejszy“.

Zmarli:

Prof. Schlichting, znany inżynier i matematyk, zm. w Charlottenburgu w 60 roku życia.

Henryk Dyrdoń, malarz, zm. w Krakowie 6 listopada.

Ludwik Figuier, popularyzator różnych gałęzi wiedzy, znany i u nas z przekładów, zm. w Paryżu.

BIBLIOGRAFJA.

Jan Dziryt. Na bruku Obrazki z życia miejskiego. Poznań 1895. Cena 75 fen.

Jan Dziryt. Z poddasza, Obrazki z życia miejskiego. Poznań 1895. Cena 75 fen.

Loopold Meyet. Liście. Fragmenty i Szkice Warszawa 1895. Cena 3 mr.

Klemens Junosza. Na chlebie u dzieci. Powieść z pięcioma rysunkami. Warszawa 1895. Cena 0,30 mrk.

De Saint Vincent. Przed przybyciem lekarza. Poradnik leczniczy i hygieniczniczny dla wszystkich. Warszawa 1895. Cena 2,50 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Antinous. „Przegląd literacki i artystyczny“ już nie wychodzi. Oprócz wymienionych przez pana czasopism wychodzi w Krakowie bardzo nieregularnie tygodnik społeczno-literacki „Myśl“. „Prawda“ warszawska nie może pod obuchem cenzury rozwinąć wyraźnego kierunku politycznego. W kierunku filozoficznym wyznaje zasady liberalne. Adres: Żurawia nr. 34.

St. W. W utworach nadesłanych jest niewątpliwie talent liryczny, ale forma miejscami wysilona i pospolita. Prosimy o więcej próbek.

Cz. N. Skorzystamy częściowo. Dziękujemy i prosimy o pamięć.

Helena. Łaskawie nadesłanego artykułu w sprawie udziału Wielkopolanek w wystawie zamieścić nie możemy, lubo zgadzamy się na treść i tendencyą krytyki. Nerwy kobiece są tak drażliwe, że ostra polemika Szanownej Pani mogłaby łatwo spowodować — spazmy.

Nr. 999. Dobrze, — ale prosimy odsłonić pseudonim.

Towarzystwo Młodzieży polskiej. Co począć z książkami? Prosimy o bliższe informacye.

Za nakład i redcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.